



N^o 403.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 15 czerwca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Od redakcyi. — Piotr Michałowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Wieża ńarozna dawnego kościoła bernardynów w Wilnie (z drzeworytem). — Kościółek w Saryi (z drzeworytem). — Zarys charakterystyki ludu litewskiego (z dwoma drzeworytami). — Przegląd piśmiennicy (dokończenie). — Służący warszawscy (z dwoma drzeworytami, dokończenie). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Przed Madonną Rafaelową (poezya). — Ze świata muzycznego. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Zbiór oryginalnych powiastek i gawęd. Dodatek nadzwyczajny do Tygodnika Ilustrowanego.

Od redakcyi.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal, w tym samym jak dotąd zakresie i pod takimiż warunkami.

Dobre przyjęcie, jakiego ukończona w przedostatnim numerze naszego pisma powieść p. t. Helena doznała od ogółu publiczności, stało się powodem, że wydawca wspólnie z redakcyą postanowił jeszcze na czas jakiś zachować przy Tygodniku dodatki nadzwyczajne, w których zamieszczane będą wyłącznie utwory treści belletrystycznej. Uwzględniając przytém życzenia wielu czytelników naszych, dołączać będziemy te dodatki w stronicach przełamanych na format zwyczajnej ósemki, która złożona i rozcięta, utworzy z czasem tomik, z bogactwem mogący każdy księgozbiór domowy.

Cena Tygodnika pozostaje ta sama, to jest w Warszawie:

rocznie . . .	rs. 8 kop. —
półrocznie . . .	„ 4 „ —
kwartalnie . . .	„ 2 „ —
miesięcznie . . .	„ — „ 67½

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie . . .	rs. 12
półrocznie . . .	„ 6
kwartalnie . . .	„ 3

z nadmienieniem, że prenumeratorowie z Cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, dopłacają za koperty od każdego egzemplarza rs. 2 rocznie. Jeśli zaś Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.

Szanowni Prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

Komplety Tygodnika, obejmujące 31 kwartałów w XV tomach, mogą być nabywane w redakcyi, po cenie: tom Iszy (jako złożony z trzech kwartałów) rs. 6, tomy następne po rs. 4. Przesyłka tomów na prowincyą w Królestwie dopełnia się na koszt odbierającego; żądający z Cesarstwa dopłacają, stosownie do odległości, naj-

wyżej rs. 1 do każdego tomu. *Adres:* Do Józefa Ungra, wydawcy Tygodnika Ilustrowanego w Warszawie.

Piotr Michałowski.

Zdarzają się na tym świecie jednostki pełne do-



PIOTR MICHAŁOWSKI. (Z portretu malowanego olejno w r. 1856 przez A. Bizańskiego w Krakowie, z maski pośmiertnej).

skonałości, obdarzone wielorakimi zdolnościami i licznymi przymiotami, które zdają się być rzadkim wysiłkiem natury, zjawiającym się niekiedy tylko wśród powszedniego tłumu.

Tacy ludzie wyjątkowi, jeżeli nie są przewodnią gwiazdą jakiejś wzrastającej idei, wszystko do czego się tylko wezmą, wydoskonalic potrafią, we wszystko ład wprowadzają i celującymi są zawsze w najróżnorodniejszych przedmiotach.

Nieraz słyszeliśmy powątpiewanie, ażali to jest

podobieństwem, aby jeden człowiek był zarazem głębokim mędrce i pierwszorzędnym malarzem, wielkim filologiem i znakomitym mężem stanu, wzorowym administratorem rządowym i takimże wiejskim gospodarzem prywatnym. Otóż niepodobieństwo tego rodzaju sprawdziło się właśnie u nas na Piotrze Michałowskim, którego ci co go zblizka nie znali, dzielili w mniemaniu swém na kilka osobnych jednostek, rozumiejąc że istniało kilku Michałowskich, z których jeden był uczonym filologiem, inny zasłużonym górnikiem, a jeszcze inny wysokim urzędnikiem, a przytém znakomitym artystą-malarzem i t. d.

Takie to zalety i odrębne od siebie przymioty mieściły się w jednym człowieku, który już dla tego samego niepospolitem i rzadkiem jest zjawiskiem. A że w istocie tak było, zaraz zobaczymy.

Piotr Michałowski urodził się w krakowskim 1801 roku, ze starożytnego domu, z familii której jakoby stałą cechą były prawość nieugięta i przedziwny rozsądek. Tam we wzorach poprzedników czerpał od młodości zasady, jakie go w dalszym żywocie świetnie odznaczały.

Uposażony od Opatrzności zdolnością niepospolitą, rozwinął pilną nauką różnostronne swe wiadomości, uczęszczając do szkół początkowych i wyższych uniwersyteckich w Krakowie. „Pamiętamy, powiada jeden ze współczesnych świadków, jak osiemnastoletni młodzieniec, ogorzałej twarzy, przenikliwych oczu, wysokiego czoła, zwracał ogólną uwagę. Odludny, a zapamiętały w pracy, pełen ironii w dowcipie, a zapału w duszy, pracował w filozofii i bibliografii polskiej pod znakomitymi mistrzami swego czasu: Szugtem, Münichem, Bandtkiem. Młody, miał jednak już ustalone imię i powagę; wrażał nawet trwogę trafnością odpowiedzi i już wtenczas był wiele obiecującym artystą i zadziwiającym genialnością swego pędzla.“

Gorliwy ojciec wyprawił go po ukończeniu nauk akademickich do słynnej Getyngi. Tam cztery lata znowu poświęcił uporczywej pracy, której owocem była rzadka biegłość w językach i literaturze greckiej, łacińskiej, angielskiej, hiszpańskiej, ze pominięciem dostępniejsze. Każdym językiem pisał poprawnie i mówił dokładnie, nawet w narzeczach. Z takim zapasem, do którego dodać należy biegłość w matematyce i naukach przyrodzonych, powrócił Michałowski do kraju.

I zaraz poszedł na jego usługi, ofiarując zdolności swe i pracę na pożytek ogółu. W tym celu w r. 1824 przybywszy do Warszawy, umieszczony został w Komisji Skarbu, przy boku ówczesnego ministra księcia Lubeckiego, który będąc znawcą ludzi, odgadł od razu wysoką zdolność i przymioty Michałowskiego. A że to było w chwili kiedy minister najgoręcej zajmował się górnictwem, Michałowskiego tedy postawił na czele tego wydziału.

Wszedłszy, może mimowoli, na tę drogę, nie cofnął się, ale z poświęceniem rozpoczął pracę. Orłem okiem odgadł wady ludzi i organizacyi, żelazną energią skruszył wszystko co mu stawiało zapory. I pięć lat nie minęło, ale pięć lat prawie bezsennych, pięć lat krwawej pracy, a już Michałowski postawił zakłady górnicze rządowe w tym stanie kwitującym. W r. 1831 Michałowski opuścił służbę publiczną i zwrócił się do nauk i sztuki.

W roku 1832 udał się do Paryża i tam, lubo już poprzednio posiadał w malarstwie niepospolite uzdolnienie, rozpoczął nowy zawód, w którym się tak świetnie odznaczył. Był pod ten czas w Paryżu jeden z najpopularniejszych rysowników francuzkich, Charlet Mikołaj Toussaint, w którego pracowni zgromadzali się młodzi artyści, znajdując tam do studyowania doborowe modele ludzkie i konne. Mistrz ów słynął szczególnie z rysunku pełnego dowcipu, kolorytu i złośliwości. Tam tedy oddał się Michałowski pracy skwapliwie. Zaraz na wstępie uznał go sam Charlet skończonym artystą i z pierwszej wykonanej roboty osądził, że nie może go już niczego nauczyć. Zdanie to podwoiło jeszcze gorliwość Michałowskiego, tak że całe niemal dni kształceniu się dalszemu poświęcał.

Zdumiewał też wszystkich łatwością, szybkością i poprawnością z jakimi wykonywał swoje studia. Niebawem zwrócił niemi na siebie uwagę znawców i miłośników sztuki; szkice jego zaczęły być poszukiwane i dobrze płacone, a lubownicy, zwłaszcza angielscy, rozrywali je po niesłychanych cenach. Za małą jego akwarelkę z parą konikami, płacono po 3 do 5 tysięcy franków; nie miał też odtąd spoczynku, zarzucany nawałem obstalunków od sprzedawczy utworów malarskich.

Uznany za pierwszego malarza koni, stawiony na równi ze słynnym w tym rodzaju artystą Géricault, zmarłym w r. 1824, posiadał wiele z nim podobieństwa; tenże sam śmiały i szeroki pędzel, takżeż znawstwo i zamiłowanie koni, konnej jazdy i wszelkich ćwiczeń ciała. Przedmioty które podówczas obrabiał Michałowski, były po większej części miejscowe francuzkie, brane z natury ciężkie normandzkie konie, ładowne wozy, zaprzęgi, dyliżanse i t. p. Nic pysniejszego nad jego akwarele w tym rodzaju; konie zdają się iść z papieru wyskakują, tak są pełne prawdy i życia. Śmiało traktowana całość i naskikowanie od niechcenia jest mistrzowskie.

Pomimo świetnego zagranicą powodzenia, dostatków i sławy jakimi go otaczano, Michałowski, zadowolony z rodziny, wrócił 1835 r. do Krakowa. Tu akwarelista dotychczasowy, przechodzi do malarstwa olejnego i oddaje mu się głównie; lecz konie były zawsze ulubionym jego przedmiotem i doszedł też w ich malowaniu do takiej doskonałości, że wyżej już sięgnąć w niej niepodobna. Robił wtedy najczęściej wizerunki konne, pochody, jazdy, rewie i t. p. obrazy, cudowne i nieocenione pod względem sztuki.

Osiadłszy następnie we wsi Krzysztoforzycach, zaczął przytem dzielnie gospodarzyć, przeplatając pracę powszednią i obowiązki ojca rodziny, sztuką i literaturą.

Najzacniejszą pamiątką po Michałowskim, pozostał dotąd jeszcze istniejący w Krakowie zakład, mający na celu wykształcenie parobków gospodarskich, z tak zwanych *pauprów* tamecznych, których liczba w zastraszający sposób wtedy się powiększyła. Tłumy tych nieszczęśliwych zalegały ulice; ztąd skargi były ogólne, ale pomocy żadnej. Michałowski pierwszy ulitował się tej większej jeszcze moralnie, jak materialnie nędzy. Poświęcił cały swój, trzy tysiące złotych reńskich wynoszący, i za tę sumę założył instytut, który łączyła tę ludność ogarnął, a nadto, oprócz funduszu, dał jej osobistą pieczę i nadzór.

Urządowanie jego skończyło się, ale nie skończyła pieka. Dotrwał do ostatniej chwili w przedsię-

wziętém dziele i tulił koło siebie, utrzymywał własnymi funduszami, nieraz pracą rąk swoich przybrane sięroty, karcąc je, ucząc pracy i bojaźni Bożej. To było koroną życia jego, przepędzonego wśród pracy prawie nadludzkiej, która zniszczyła żelazne zkadłina zdrowie. Umarł dnia 9 czerwca 1855 roku, w majetności swój Krzysztoforzycy, licząc zaledwie lat 54.

Żył niedługo, ale chlubnie i pożytecznie, szczęśliwszy od innych w tém, iż sławę swoje przywiązał nietylko do dzieł znanych pewnej liczbie osób, ale utrwalił ją czynem ogólnego dobra. Cześć przeto jego imienia przetrwa niewątpliwie długie lata, chociażby o dziełach jego artystycznych z czasem zapomniano.

Kronika tygodniowa.

Nazwano miesiąc czerwiec karnawalem letnim w Warszawie i jest trochę słuszności w tej nazwie. W tym miesiącu każdy tydzień, każdy dzień prawie ma swój osobny programat zabaw, zajęć, rozrywek, tak że niektóre grzeszą przepełnieniem i publiczność waha się pomiędzy czarnymi, czerwonymi i zielonymi afiszami, cuda świata jój obiecującami. Tu loterya fantowa, tam dramat na benefis, o nieskończonej liczbie obrazów, a tam znowu koncert na świeżém powietrzu, składający się z prawdziwie wyborowych utworów, przez uczniów warszawskiego Instytutu muzycznego wykonanych. A i Roger przyjechał; warto go usłyszeć, boć to dawna sława europejska; a choć zachód i jutrenka to nie jedno wcale, warto i z zachodu coś zacerpnąć. Dalej słynna tancerka wiedeńska; a nie mówimy już o rozmaitych teatrzykach, ogródkach, wystawkach i widowiskach na świeżém powietrzu, które czyhają na nas z każdego niemal zakrętu ulicy. Wkrótce zaś znowu wyścigi konne, wystawa płodów rolniczych i gospodarskich i wianki; teatr ogłasza nowe sztuki, ba nawet o Kupcu weneckim coś przebąkują, o prawdziwym Kupcu weneckim Szekspira, którą to postać ma przedstawić pan Królikowski, na swój własny, jak słyszeliśmy, benefis, a to najpożądaną za wszystkich nowości dramatycznych i nawet wielu niedramatycznych. Więc i w sklepach ruch niezwykły panuje. Letnie towary w sutym doborze gromadzą się po oknach; stroje i stroiki tęczowemi błyszczą barwami; rozliczne materje połyskują na słońcu, zanim pokrajane w kliny i wystrzyżone w zęby ukażą się publicznie w całym swoim blasku; fantastycznego kształtu kapelusze walczą pomiędzy sobą oryginalnością kroju; u fryzjerów piętrzą się całe góry sztucznych włosów, które z różnych stron kraju napłynęły do Warszawy, żeby przerobione, splecione i ufryzowane tutaj, rozejść się wraz z gośćmi czerwcowemi w różne okolice. Każdy transport kolei żelaznej sprowadza nowości jakiegoś, mające potem figurować na kartach śniadankowych i obiadkowych, — słowem wszędzie ruch, gwar i ożywienie.

I zkad się biorą pieniądze na to wszystko? Alboż ja wiem i zresztą co mnie do tego? Pieniądze muszą być, bo bez pieniędzy nie przecie. Wszędzie i za wszystko płacić trzeba; zresztą ludzie przyzwyczaili się do tej myśli, że byleby na dziś starczyło, to o jutro mniejsza. A któżby tam o jutrze myślał? Zbyt wielkie to wymaganie. Wszak nasz język utworzył owo sławne „jakoś tam będzie“. „Jakoś tam będzie“ to pociecha i wymówka dla wielu. „Jakoś tam będzie“ i obiad, i ubranie, i komorne za lokala, i opłata sług, i ogarnięcie dzieci, i wreszcie to przekonanie, że się z głodu nie umrze; bo któż na tym świecie z głodu umiera? Trzeba być na to głupim, albo niedołągą. Jak nam nie starczy własnych pieniędzy, znajdują się pożyczane. Tylko zkad pożyczyc, w tém sztuka. Bo ludzie pożyczający zaczynają przebąkiwać, że wprawdzie do *brania* jest wielu, ale jak przyjdzie *odbiierać*, to strach nawet pomyśleć ile z tém kłopotu. Ten nie ma, ten się prosi, ów się wybiega jak może, a inny znowu mówi najbezpieczniej:

— Chcesz mieć oddane, to dokończ bratku; jest to jedyny sposób ażebyś wrócił do swoich pieniędzy.

Może to sposób i dobry, ale ryzykowny trochę,

tak przynajmniej wielu utrzymuje, a ja gotów jestem pisać się z nimi na jedno.

I błogosławione te papiery, one jeszcze nas ratują. Gdy kto ma trochę pieniędzy odłożonych, a na szczęście znajdują się jeszcze i tacy, zaraz kupuje rozmaite akcje, obligacje, listy zastawne, bo to za tanie pieniądze dostać można, swój procent zawsze przyniesie, a kapitał, leżąc sobie najspokojniej w kasie bezpieczeństwa, wzrasta jak na drodze. Przyjdzie kolej, akcja lub list zastawny zostaną wylosowane, a pieniążki biorą do ręki. Dało się siedemdziesiąt, sześćdziesiąt nawet czasem, a odbiera się sto; wszak to wcale ładnie. Więc cóż dziwnego że ani na domy, ani na dobra kupca nie znajdzie, kiedy wszystka gotówka w papierach leży. Al pari trudno brać, a kupujący nie głupi znowu, żeby płacił po cenie nabycia papierów. Dla obdłużonych to dość wygodnie nawet: niech się wierzyciele troszczą, niech ogłaszają subhastacje, które spadają termin po terminie, własność tymczasem zostaje w tych samych rękach, dochody idą swoją drogą, a procentów się nie płaci, bo płacenie procentów poszło na karb dawno już zapomnianych przesądów. Ale zato chcieliby pożyczyc pieniądze na hypotekę, to mozesz zbiedz kawał świata, zanim grosz zobaczysz. Kupna i sprzedaży niema prawie wcale, lecz zato robi się mnóstwo tranzakcyj: ten dał dom obdłużony i zyskał za to więcej jeszcze obdłużone dobra; ów postąpił sobie w zupełnie przeciwny sposób, a każdy zadowolony, że choć na chwilę zmienił położenie i ma teraz z nowymi wierzycielami do czynienia.

Na tém wszystkiem zyskują stemple, pośrednicy i regenci, ale strony po krótkim doświadczeniu przekonywają się, że straciły tylko.

* * *

Przy wystawie paryzkiej rozpoczął się już turniej szachowy, w którym, ile nam wiadomo, trzech naszych rodaków udział bierze.

Mamy w tej chwili w ręku ciekawy bardzo list pana Szymona Winawera, dozwalający nam przesądzać, że nasi przedstawiciele szachowi niepoślednie na tym turnieju zajmą miejsce.

Oto niektóre wyjątki z tego listu.

„Dnia wczorajszego zesłaliśmy się w klubie międzynarodowym, do wystawy należącem, i zastaliśmy tam piękny bardzo, oddzielnie dla nas przeznaczony salon, ze stosowną w nim liczbą stolików i szachów. Francya, Anglia, Hiszpania, Niemcy i Dania mają tu swoich przedstawicieli, a sławny Amerykanin Morphy także jest spodziewany.

Wczoraj ciągnęliśmy losy, komu i z kim z początku grać wypadnie, i proszę sobie wystawić, że pierwszy z którym mieć będę do czynienia, jest Anderson (*). Twardy to orzech do zgryzienia; nabrałem jednak trochę odwagi, skutkiem zmierzenia się dnia wczorajszego z Neumanem, również pierwszorzędnym szachistą. A stało się to w następujący sposób.

Po skończonem już balotowaniu, wchodzi do sali w której byliśmy zebrani, mały, niepozorny człowieczek, w którym de Riviere poznał Neumana, słynnego na całe Niemcy pogromcę szachowego.

Po zwykłym przywitaniu, nowoprzybyły proponuje partję szachów.

Jakoś ta próba nie przypadła do smaku zebrany tam graczom; więc jeden zaczyna się tłumaczyć że go głowa boli, drugi że jest niewyspany, trzeci że mocno cierpi na zęby, i tak powoli wszyscy zwinęli chorągiewkę. Naturalnie że te doraźne choroby wywołała obawa przegranej, Neuman bowiem jest postrachem tutejszych szachistów.

Nie podobało mi się takie cofanie na całej linii, boć przecie nie święci garnki lepia, a Niemcy i tak mają zbyt dobrą o sobie opinią, nie potrzeba więc w niej ich utwierdzać. Powiadam zatem, że nie ciesząc się europejską sławą i nie mając nic do stracenia, poświęcę się za innych, a przynajmniej choć przegram, nikt mi braku odwagi zarzucić nie zdoła.

(*) Anderson, profesor wrocławski, który na turnieju szachowym w Londynie podczas od tej tamże wystawy powszechnej pierwszą otrzymał nagrodę, słynie za najlepszego szachistę w Europie, chociaż w walnej potyczce szachowej z amerykańskim Morphem został porażony.

Odezwanie się moje wróciło wszystkim dobry humor, a ja, nie zwlekając dłużej, zasiadłem do party. Szła ona dość uparcie, regularnie i bez żadnych nadzwyczajnych cudów, i skończyła się w końcu porażką Neumana. Widocznie porażka ta bardzo mu leżała na sercu, i musiałem mu przyrzec że wieczorem w Café grand ponowimy walkę. I stało się tak, przy licznym zgromadzeniu ciekawych; ale i tym razem także los nie dopisał Neumanowi, a ja otrzymałem zwycięstwo.

Domyslić się łatwo, że powodzenie to wielki mi zjednało rozgłos, jakkolwiek są to tylko partye preliminaryjne i nie śmiem cieszyć się nadzieją, że los tak dalej mi posłuży.

Pojutrze gram partyą z Andersonem, jeżeli przyjedzie, bo już turniej się rozpoczyna. Zapisanych jest szesnastu najlepszych graczy z całej Europy, każdy zaś z nich musi grać trzydzieści dwie partye w przeciągu pięciu tygodni, tak że wszyscy grać będą ze sobą po dwa razy, dla pewniejszego rezultatu.

W załączeniu do tego listu pan Szymon Winawer przesłał nam swoje dwie partye z Neumanem, z których jedną wkrótce ogłosimy pod właściwą rubryką, oraz bardzo piękną partyę, turniejową już, p. Rosenthala, również naszego rodaka, z panem de Rivière, słynnym szachistą francuskim, która się skończyła porażką tego ostatniego. I tę partyę także podamy do wiadomości naszych szachistów, ze wszech miar bowiem zasługuje ona na to.

Z powodu znajdowania się już na prasie Tygodnika, nie mogliśmy w zeszłym numerze donieść o śmierci Wacława Łuszczewskiego, b. dyrektora wydziału przemysłu w K. R. S. W. i D. radcy Towarzystwa kredytowego etc. Ze znakomitą wykształceniem, szczególnie w rzeczach ekonomii politycznej, łączył on szczerą chęć do pracy, która stała się potrzebą i nawykniem całego jego życia. Nikt nas nie posądzi żebyśmy skorymi byli w oddawaniu pochwał nekrologowych, zawsze na jedną normę spisanych, ale ś. p. Łuszczewskiemu należy się od nas wspomnienie.

Jako jeden z założycieli Biblioteki warszawskiej, przyczynił się znacznie do wzrostu i rozwoju tego pisma. Zdanie jego bezstronne znamionował zawsze sąd uzasadniony i gruntowne przekonanie. Mówił mało, ale dobrze. Ludzie znający go bliżej przyzwyczaili się przywiązywać wielką cenę do słów przez niego wyrzeczonych, nie narzucał się bowiem ze zdaniem ani radami, ale zapytany, objawiał zawsze i bezwzględnie najzdrowsze przekonania. Zwykle się w cień usuwając, pozwalał drugim jaśnieć za siebie, zbierać pochwały i przyklaski; niemniej jednak ludzie umiejący ocenić prawdziwą zasługę, znali jego wartość i otaczali go szacunkiem. Któż nie pamięta owych wieczorów poniedziałkowych, które przez tak długi czas dla Warszawy najmiłszą stanowiły rozrywkę, połączone z niemałym pożytkiem dla sztuki, dla literatury, dla stosunków towarzyskich? Niektórzy tylko z bywających na tych wieczorach mieli przywilej zabrania bliższej znajomości z gospodarzem domu i wówczas odkrywali w nim prawdziwą duszę zebrania, owo główne kółko, które wszystkim innym ruch nadaje i od którego wszystko zależy. Większość jednak nie umiała go ocenić, bo cicha załuga zawsze w ukryciu pozostaje. Obdarzony wielostronnym wykształceniem, ś. p. Łuszczewski potrzebował bodźca, żeby wydobyć z siebie wszystkie skarby wiedzy. Lubił zwykle ustępować, okazując dla świata, jego przywyknień i śmieśności pobłażliwość, jaką umysł wyższe hojnie obdarzone bywają. Zasoby które w nim były, tylko w poufnym kółku rozwijały się swobodnie, hojnie jednak szafował on niemi na służenie z pożytkiem krajowi, w zakresie jaki sobie obrał do uprawiania. Łagodny, wyrozumiały, spokojny i równy w obcowaniu, dozwalał innym hojnie korzystać z ziarna przez siebie rzuconego, nie upominając się o część z prawa mu przynależną. Głównym gruntem jego usposobienia był spokój, wypływający z przekonania prawdziwie chrześcijańskich i rzeczywistej wyższości ducha. A przytęm był to charakter silny, wytrwały, zamknięty w sobie, nie dający się skrzywić żadnymi przeciwnościami; ani stracić z teru raz obranego. W różnych czasach ogłaszał on drukiem niektóre prace w ekonomicz-

nym zakresie. Pisał także i poezye, nie dozwalając im jednak nigdy ukazać się na widok publiczny, był bowiem stałego przekonania, że w takiej gałęzi literatury u nas rzeczy tylko wyższej wartości zasługują na uwagę i pożytek ogółowi przynieść mogą. Córka jednak (Deotyma) światłym jego zdaniom i poradom wiele zawdzięcza w rozwoju swojego znakomitego talentu. W ostatnich latach życia, zaczął on pracować na polu powieściowym i prace swoje w tym rodzaju, z których jedną Tygodnik wkrótce pomieści, ogłaszał pod pseudonymem Korczaka. Mało jednak przywiązując do nich wagi, poczytywał je raczej za zabawkę, chociaż z utworów tych widniała prawdziwa zdolność, dająca żałować, że poważniejszego zakresu prace nie dozwoliły mu wcześniej jąć się pióra powieściopisarskiego.

Oglądając wzorowo urządzone u pana Ostrowskiego fabrykę kas bezpieczeństwa, oraz wielu innych machin, których wymienienie tu wychodzi z ram naszego przeglądu, mieliśmy sposobność zabrać tam znajomość z dziwnego autoramentu mechanikiem. Jest to czysty krwi Warszawiak, nieumiejący czytać i pisać, który pełnił kiedyś obowiązki parobka podwórzowego. Do roboty był on jedyny, ale na równi z robotą i nad nią nawet cenił wódkę, z którą codziennie odnawiał znajomość, tak że zwykle nad wieczorem już ani ręką ani nogą ruszać nie mógł. Kiedy wszelkie napomnienia, groźby i kary nie odnosiły skutku, właściciel fabryki postanowił jąć się środka heroicznego i oświadczył Bartkowi pewnego rana, kiedy jeszcze można z nim było jako tako rozmówić się, że go wydalą ze służby.

— A to dlaczego, proszę pana? zapytał parobek.
— Bo się upijasz tak niemilosiernie, że tracisz przytomność i przez niedozór możesz narazić zakład mój na niebezpieczeństwo.

— Ja się poprawię.
— Codzień obiecujesz poprawę, i codzień broisz napowrót. Już klamka zapadła: pójdiesz sobie precz.

— Otóż nie pójdę.
— Nie pójdiesz? Ciekawym jakim sposobem zmusisz mnie do tego bezemnie cię zatrzymał?

— Bo pan się bezemnie nie obejdziesz, pan sobie bezemnie nie da rady.

— Znajdę takich parobków jak ty nie jednego.

— Ba — pan nie wie sam jaki skarb we mnie posiada; użyj mnie pan tylko do innej jakiej roboty, a zobaczymy.

— I do jakiejże roboty mam ciebie użyć? może do maszyny parowej.

— A chociażby do maszyny; z pewnością lepiej sobie poradzę od tego Niemca, co śpi tylko przy robocie.

— No wiesz co, spróbuję wziąć ciebie na próbę i uczyć obchodzenia się z maszyną. Ale pamiętaj o tym, że mechanik nie może być pijakiem, bo to groziłoby wielkim niebezpieczeństwem dla fabryki. Więc jeżeli dasz słowo na to że się nie będziesz upijał...

— Tylko co święto i co niedziela, bo w te dni maszyna stoi.

— No, więc zgoda — spróbujemy.

We trzy miesiące parobek umiał już najwyborniej obchodzić się z maszyną i dotrzymał słowa: przez cały tydzień ani tknie wódką, ale zato w niedziele i święta spija się należycie. Że jednak tym sposobem nie przekracza ugody i służba nie na tym nie cierpi, właściciel fabryki puszcza płazem swemu mechanikowi te drobne uchybienia.

Przegląd polityki zagranicznej.

14 czerwca.

W zeszłym tygodniu, w chwili gdy pismo nasze było już na prasie, Dziennik Warszawski podał następujący telegram, odebrany z Paryża przez JW. Generał-Feldmarszałka Hrabiego Namiestnika Królestwa w dniu 26 maja (7 czerwca).

Przekład z francuzkiego:

„Do Hrabiego Berga w Warszawie.

Opatrzność czuwała nad naszym Monarchą. Wczoraj, przy powrocie z wielkiej rewii przez lasek bułowski, strzelono do powozu zajętego przez obydwoh Cesarzy i naszych dwóch Wielkich Książąt. Na szczęście nikt nie został trafiony; — nędznik jest Polakiem. (podp.) Adlerberg.“

Później Dziennik Warszawski z dnia 28 maja (9 czerwca) podał drugi telegram z Paryża, następującej treści: „Paryż, 7 czerwca. Na dzisiejszym posiedzeniu izby, prezes jej wynurzył, przy najżywszych oznakach zadowolenia tójże, uczucie oburzenia izby i Francuji przeciwko zamachowi i sympatya dla Cesarza Ruskiego. Paryż był iluminowany. Cesarz Ruski nie skróci ani o godzinę zamierzonego pobytu w Paryżu.“

Pobyt dostojnych osób w stolicy Francuji wywołuje w dziennikarstwie niezmiennie przekonanie, że kwestya wschodnia musi być obecnie załatwioną. Z tém wszystkiem półurzędowa prasa berlińska twierdzi, że wiadomość o projekcie francuzkim, dotyczącym opuszczenia Krety przez Turków, była mylną. N. Pr. Ztg. utrzymuje, że mocarstwa zaproponują tylko Porcie wysłanie komisji dyplomatycznej na wyspę, celem zbadania obecnego stanu rzeczy i wysłuchania życzeń ludności; wątpić wszakże należy aby Porta na ten projekt przystać chciała dobrowolnie. Z Paryża donoszą, że król pruski konferuje codziennie z następcą tronu, hr. Bismarck i hr. Goltz posłem przy dworze tuileryjskim i że konferencye te dotyczą nie tylko kwestyi niemieckiej, ale i wschodniej. W dniu 10 b. m. N. Cesarz Wszech Rosyi, w towarzystwie Wielkich Książąt, cesarza Napoleona i króla pruskiego, udał się do Fontainebleau, a ztamtąd do Darmsztadu i Sztutgardu. Depesza z dnia 13 czerwca z Paryża donosi, że J. C. W. W. K. Następca tronu rosyjskiego wyjechał do Londynu. Gazety niemieckie potwierdzają wiadomość o odwiedzinach cesarza Napoleona w Berlinie, dodają wszakże iż wyjazd francuzkiego monarchy nastąpi dopiero w końcu sierpnia. Sułtan przybędzie w dniu 2 lipca, a król włoski i królowa Wiktorya wcale nie wyjadą ze swych stolic.

W dniu 8 b. m. odbyła się uroczystość koronacyi w Peszcie. Ceremonia ta, której dla braku miejsca opisywać nie będziemy, odbyła się w kaplicy; następnie całe zgromadzenie przeszło do kościoła garnizonowego, w którym cesarz udzielał mieczem św. Stefana pasowania rycerskie, a potem do kościoła farnego, gdzie król składał przysięgę dekretalną. Depesza z Pesztu z dnia 10 b. m. donosi, że dekret cesarski udziela amnestya wszystkim politycznym przestępcom, wychodząc zaś dozwala wracać do kraju. Cesarz i cesarzowa austriaccy ofiarowali swój podarunek koronacyjny, wynoszący 100,000 dukatów, na korzyść wdów i rodzin pozostałych po honwedach.

Dziennik La France zaprzeczył pogłoskom o odkrytym sprzysiężeniu politycznym w Konstantynopolu; tymczasem depesza z tój stolicy z dnia 11 b. m. zapewnia, że kilka tysięcy stronników tak zwaną „młodą Turcyją“ chciało zażądać od Porty zwołania światlejszych ulemów i że przywódcy tego stronnictwa zostali aresztowani. Tymczasem wojska sultańskie na wyspie Kandyi doznają podobno ciągłych porażek. Według depesz ateńskich Omer-basza zmuszony został przez Koroneosa do odwrotu pod samą twierdzę Kandyę, a Reszyd-basza, spieszący na pomoc wodzowi naczelnemu, pobity został przez Petropolakisa. Taż sama depesza zapewnia, że Mehmed-basza, otoczony przez powstańców w Apokoronos, odcięty został od morza.

Ostatnie depesze. Paryż, 14 czerwca. Monitor wieczorny pisze: Wszystkie ludy składają dzięki Opatrzności za ocalenie Cesarza Aleksandra. Francya i Rosya jednoczą się we wspólnej myśli. Zamach wzmocni węzły ufnosci i przyjaźni pomiędzy Francją i Rosją. (Dz. Warsz.)

Nowy York, 11 czerwca. Generał Escobedo w d. 27 z. m. zwołał sąd wojenny, dla osądzenia cesarza Maksymiliana. Generał Mendez został rozstrzelany.

Bruksella, 12 czerwca. Król pruski przyjedzie tu w piątek po południu i po kilgodzinnym pobycie uda się do Berlina. (W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)

Wieża narożna dawnego kościoła bernardynów w Wilnie.

Jednym z nielicznych za Niemnem zabytków budownictwa średniowiecznego, jest kościół bernardynów w Wilnie. Założył go w r. 1469 król Kaźmirz Jagiellończyk, a pomimo licznych przerażeń i pożarów, nosi on jeszcze dzisiaj wybitną cechę pierwotnej swojej budowy. Żaden kościół wileński nie posiada tylu nagrobków i pomników, ile ich ma bernardyński. Tu od XVI wieku aż do naszych czasów grzebano wszystką prawie bogatszą szlachtę litewską i zamożniejszych mieszczan wileńskich. Tradycyjalny ten zwyczaj u mieszkańców Wilna przeszedł nawet w przyszłość, bo do dziś dnia, mówiąc żartobliwie o czyjś śmierci, powiadają u nas: „wzięli go bernardyni“ albo: „prowadzili go do bernardynów.“

Z nagrobków najpiękniejsze tu Stanisława księcia Radziwiłła marszałka w. lit., zmarłego r. 1599; Piotra Wiesiołowskiego oboźnego, ulubieńca Zygmunta Augusta, i Władysława hr. na Łohojsku Tyszkiewicza, krajczego w. ks. lit. z roku 1684.

Z pierwotnej budowy kościoła ocalały wewnątrz piękne ostrołukowe sklepienie i śliczna narożna wieżyczka od dziedzińca, którą tu na rysunku podajemy. Wieżyczka ta jest jedyną częścią bernardyńskiego kościoła, mogącą godnie iść w porównanie z gotycką pięknoscią sąsiadującego z nim kościółka św. Anny, tego arcydzieła budownictwa średniowiecznego, którego rysunek umieszczony już był w numerze 5 naszego Tygodnika.

Kościółek w Saryi.

Kościółek o którym mowa nie jest żadnym zabytkiem historycznym, ale wyłącznie pamiątką rodzinną, pięknoscią zaś formy i czystością linii architektonicznych zwraca na siebie oczy znawców. Założony przez Ignacego Łopacińskiego w 1850 r., w majątności jego Saryi w gubernii witebskiej, powiecie dryzieńskim, parafii rosickiej, wznosi się na przeciw mogiły matki, żony i synka założyciela. Cały z cegły czerwonej, ma wysokości od fundamentów do gzymsu stóp 50. Dwie wyższe wieżyczki dochodzą wysokości stóp 100 aż do krzyża; czternaście mniejszych, z cegiełek czerwonych, na pręty żelazne nianych, wybiega nad dach płaski, blachą kryty. Od jednej wieżyczki do drugiej balustrada, także z cegły czerwonej, jakby misternej roboty koronka, wznosi się nad gzymsem. Ozdoby gotyckie, rozety, konsole i t. p. wszystkie z gliny palonej.

Wewnątrz kościółek ma długości około stóp 70, szerokości 28. Sklepienie gotyckie, którego łuki wdzięcznie się przecinają, wspiera się także na gotyckich pilastrach. W głównym a jedynym ołtarzu jest piękna statua kamienna Matki Boskiej niepokalanego poczęcia, umieszczona we framudze i oświetlona z góry ukrytym oknem. Sam ołtarz, arcydzieło stolarskiej roboty, wykonany w kształcie sarkofagu gotyckiego z drzewa dębowego. Na nim wznosi się z takiegoż drzewa, jakby świątynia gotycka, cyboryum. Kratki, ambona, chór i t. d., wszystko w najczystszej gotyckiej stylu, tworzą

Litwin jest wzrostu wysokiego, silnie zbudowany, ma głowę ogromną i szeroką w czole, tak że rzadko może dobrać sobie czapki lub kapelusza nie robionych dlań na obstalunek. Wyraz twarzy ma podobny do fizygnomii człowieka, który wyszedłszy z ciemnicy, na chwilę olśniał, ale już się orientuje, i widać że wkrótce da sobie radę.

Chód Litwina dość ociężały, ruchy zamasyżte, żarty bolące i... kolące. Trudno go rozgniewać, ale rozgniewany, staje się straszny.

Litwin umie kochać, ale nie znosi niestałości i okropnie karze zdradę. Niewdzięczność poczytuje za większą zbrodnię niż zdradę, i nie zapomina o niej, nawet po śmierci niewdzięcznika. Zakopałem go, powiada, ale swego żalu nie mogłem zakopać, bo zażduży.

Wytrwałość w przedsięwzięciu i w pracy stanowi zaletę Litwina. Prawda że się nie gorączkuje, nie rozbija, nie miota, ale też zato nie ustaje i postępuje zwolna, ale ciągle. *Festina lente*, zdaje się być jego ulubionym hasłem.

Na pozór jest niezbyt bystrego pojęcia, ale to tylko pozór, bo ma zwyczaj nie odzywać się ze zdaniem, dopóki wszechstronnie nie zbada przedmiotu. Skoro się zaś odezwie, widać że go znurtował z kretelem.

Pamięć ma trwałą, ale nie na pierwsze zawołanie. Szuka w swjej głowie czas jakiś faktu, niby tomu żadanego dzieła w bibliotece; to też znajduje go niezawodnie.

Danego słowa lubi dotrzymywać, ale niełatwo je daje, baczny na wszelką wynikłość...

Człeka co nawet w błahych rzeczach słowa danego lub zobowiązania nie dotrzymuje, lekceważy sobie. Z takim o niczym ważnym mówić nie będzie i w interesie się nie wda.

Powściągliwy w języku do wysokiego stopnia, ma takt instynktowy. Nie posiadając ukształcenia nawet, wie gdzie, kiedy i co można powiedzieć. Rzadko bardzo z głupstwem się wy-

rwie, a ma tę zaletę, że dwa razy takiegoż samego głupstwa nie popełni.

Sekretu osobistego dochowuje niezachwianie. O swoich interesach ważniejszych, czy to po trzeźwemu, czy po pijanemu, mówi tylko tyle, ile uważa za stosowne, ale nigdy wszystkiego co myśli nie wypowie. „Poco ja mam być czyimś niewolnikiem?“ to jego maksyma w tej mierze. Zniesie obrazę zadaną sobie na cztery oczy, ale nie przebaczy nieraz niewinnego żartu, choćby skierowanego do pieska będącego jego własnością, mianowicie żartu który śmiech wzbudził w obecnych.



WIEŻA NAROŻNA B. KOŚCIOŁA KS. BERNARDYNÓW W WILNIE. (Rysował z natury Kaźmirz Römer).

widok pełen harmonii. Zewnątrz cmentarz kościelny ogrodzony jest z trzech stron murem także gotyckim, a od frontu sztachetami z kutego żelaza.

Kościółek ten za Najwyższem zezwoleniem ukończony został w 1857 roku i poświęcony w czerwcu. Tegoż roku w lipcu zjechał tam ś. p. Waclaw Żyliński, metropolita wszystkich rzymsko-katolickich kościołów w Rosyi, a po odprawieniu pontyfikalnie mszy świętej, przez dwa dni tłumy ludu bierzmował.

Ale zato Litwin wychowany po bożemu pod strzechą rodzicielską, ukształcony naukowo w szkołach, lub własną pracą, jest człowiekiem godnym szacunku, poważania i szczerzej miłości. Ciekawość wrodzona zamienia się u niego w dar przenikania tajników przyrody i ludzkości; skłonność do intryg, w wysokie zdolności administracyjne, prawne, finansowe lub dyplomatyczne; szczodrobliwość instynktowa, w serdeczną uczynność i wylanie się bez granic, posunięte do ofiar i poświęceń. Litwin dobrze wychowany i ukształcony jest pracownikiem drogocennym na każdym polu, członkiem towarzystwa z wagą i powagą, przyjacielem na całe życie, wyrozumiałym i pobłażliwym, człowiekiem w całym znaczeniu tego wyrazu, na którym można polegać jak na Zawiszy. Zgoła, Litwin dobrze wychowany i ukształcony, pozbywa się nazawsze wad ciekawości, intrygantstwa, a nadewszystko mściwości za niewdzięczność, na którą spogląda wtedy z uśmiechem prawdziwego filozofa.

Ale nigdy nie pozbywa się jednej właściwości, to jest żyłki do uzalania się na cudze wady i usterki, chociaż to uzalanie się wtedy jest objawem gorącego pragnienia, aby wszyscy byli takimi jakimi być powinni...

W ogólności Litwini, czy to w stanie kmiecym, lub na podnioslejszych szczeblach społecznych, odznaczają się serdeczną i gorącą pobożnością. Jeżeli przyjemnie jest widzieć Litwina prostaczka, modlącego się w miejskim kościółku, to Litwin ukształcony, modlący się na kłęczkach w katedrze metropolii, może zbudować nawet bezbożnika.

Wracamy do kmieci jednakże, bo pomiędzy nimi typy najczystsze się zachowują. Wieśniak litewski jest zmysłowy. Lubi dobrze zjeść, potężnie wypić i ma takie zdrowie, że znosi bezkarnie niesłychane dozy niestrawnych pokarmów i heroicznym trunków. Ale to tylko

aby nie ubliżyć honorowi domu. A jeżeli wzbraniają się jeść i pić, gospodarz z żalem pyta:

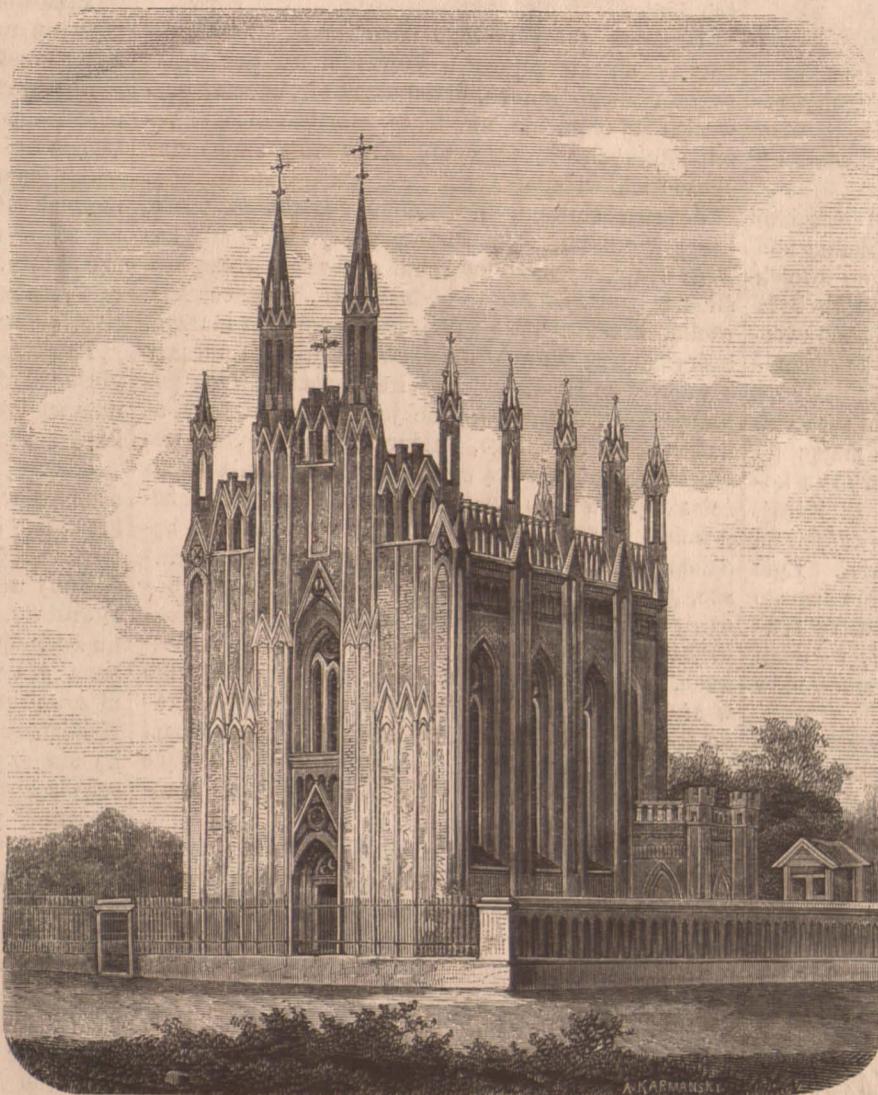
— Chyba niesmaczne, że nie używacie?

— Nie tego świata smak tego jadła i tego trunku,

wość: nie noszą zausznice i wcale uszu nie przekalają.

Litwinki są pracowite i gospodarne, silne i zdrowe.

A że zdrowe, więc niezręczne w domu, nieswarliwe z mężem i z czeladzią, ciągle z wesołym uśmiechem na ustach. Bo kobiety chorowite, są najzręczniejsze na świecie, mówiąc nawiasem.



KOŚCIOŁEK W SARYI.

odpowiadają wtedy gościom i nanowo używają.

Podczas uczt śpiewanie pieśni przy kieliszku, czasami dość jaskrawych pod względem wyrażenia, bywa pospolitą.

Całowanie się w usta osób płci obojga zupełnie niespokrewnionych z sobą, jest zwyczajem, brak mu więc powabu owocu zakazanego.

Litwinki są ślicznie zbudowane. Mięwają cudowną nogę, rozmiarów kopcuszkowych; biodra wdzięcznie faliste; kibić giętką; gorszą posagowego rysunku; zgrabną i pulchną rękę, choć brzydkie paznogie. Zgoła Litwinki w dobrym bycie, mają wszystkie przymioty rasy kaukazkiej. Jednakże brak im dwóch ważnych rzeczy: brwi i warkocza. Brak brwi jest tak pospolitym nawet pomiędzy blondynami płci męskiej, że piękna czarna brew, u brunetów płci obojga dość znówu pospolita, byłaby okrasą ślicznego niebieskiego oka, o słodkim i głębokim wejrzeniu, gdyby łuk jej był okrągłym, gdyby nie szła u spodu czoła prawie w linii poziomej, bez żadnego zagięcia.

Litwinki nie chwala się warkoczami, czy dlatego że nie mają bujnych włosów, czy ze zwyczaju tylko, jak godzi się mniemać. Włosy swe dziewice i mężatki chowają pod cółkami lub chustkami, i w tym się różnią

lasu. Chłopiec umarł, a jego ojciec długi czas na próżno szukał węża po lesie, żeby go zabić.

Ale gdy tym sposobem wąż przestał dostarczać mu wszelkiego dobra, człowiek ten zbiędniał i przy-

Ten pobieżny rzut oka na Litwinów, zakończymy przytoczeniem kilku przypowieści i przypowieści, które niechaj dopełnią tej ulotnej charakterystyki.

Litwin wyraża się o człowieku nieskłonny do zwierzeń a rozumny wedle jego wyobrażeń, w ten sposób:

— Więcej go jest pod ziemią, niż na ziemi.

O człowieku zręcznym w interesach, zgoła takim, jakiego świat ucywilizowany nazywa biegłym dyplomata, mówi:

— Z pod żmiji jajko potrafi wytoczyć...

O niewdzięczności i zemście za nią jest taka przypowieść. W pewnym lesie mieszkał człowiek z swym synem, kilkoletnim chłopczykiem. Jakiegoś wąż z tegoż lasu zaprzyjaźnił się z tym człowiekiem i pokochał chłopczyka. Znosił więc wszelkie dobro człowiekowi, łakocie zaś i zabawki dla jego syna przez czas długi, i dobrze im wszystkim było. Ale jednego razu, gdy chłopczyk zajął mleko z miski stojącej na ziemi i wąż tam zbliżył się, żeby wedle zwyczaju przyjętego oddać między nimi, także posilić się mlekiem, malec, będąc czegoś w złym humorze, porwał za witekę i jednym zamachem odciął ją ogonowi, bo wiadomo że ogon węża jest bardzo kruchy. Wąż, rozgniewany za doznane kalęstwo, ukąsił chłopca i uciekł do



WIEŚNIAK LITEWSKI.



WIEŚNIAZKA LITEWSKA.

w kompanii, bo do karczmy na pijatykę nierad uczęszczać; więcej go tam pociągają plotki wioskowe. Gospodarz domu zajada i zapija dla przykładu i dla zachęcenia gości. Goście jedzą i piją do upadłego,

od kobiet słowiańskich, lubiących swe włosy wiewać nad karki i przyozdabiać je w jaskrawe wstęgi.

W ubiorze Litwinek jest jeszcze druga osobli-

szedł do takiej nędzy, iż zapomniawszy o zemście i zaczął szukać węża, żeby go przeprosić. Jakoż znalazł go po wielu usiłowaniach, przeproszał i do zgody namawiał. Ale wąż mu na to odpowiedział:

— Mój człowiecze, jakąż może być pomiędzy nami zgoda, kiedy ile razy ty spojrzysz na mnie, to ci się przypomni żem zadał śmierć twemu synowi; a ile razy ja na ciebie spojrzę, to mi przyjdzie na pamięć że to twój syn ogon mi uciął? Już my nigdy nie będziemy przyjaciółmi.

Potrzebę zachowywania sekretu w rzeczach ważnych, nawet względem osób najbliższych, a ztąd i przed własną najukochańszą żoną, uwydatnia legenda o Egle i Żaltisie.

Egle, córka kunięsa, prała chusty nad brzegiem jeziora, a Żaltis, król jezior, widząc ją piękną nad podziw, pojął ją za żonę i zaprowadził do swoich kryształowych pałaców pod wodę. Tam Egle była zupełnie szczęśliwą dopóty, dopóki jej mąż nie zwierzył się, że są pewne słowa magiczne, za wymówieniem których byłby zmuszonym wyjść z wody na ziemię i tam, jako bezbronna, mógłby być zabitym. Egle, wiedząc tak ważny sekret, a nie mając go komu wygadać pod pieczęcią tajemnicy, trybem kobiecym zaczęła schnać i tak mizernieć, że Żaltis, na jej żądanie odwiedzenia rodziców pozostałych na ziemi, acz niechętnie, zgodzić się musiał. Egle w gościnie u swych rodziców jeszcze tegoż samego dnia powierzyła swój sekret siostrze, siostry braciom, a bracia taki użytek z niego zrobili, że udali się nad jezioro, wywabili Żaltisa za pomocą słów magicznych i życie mu wydarli.

Kiedy Egle miała już dość gościnę i wracając do męża, spostrzegła jego zwłoki rozciągnięte nad jeziorem, okropny żal uczuła, że swą gadatliwością stała się przyczyną jego śmierci i krzyknęła tak przeraźliwie, iż bogowie przez litość w swierk ją przemienili (po litewsku egle — swierk), Żaltisa zaś w węża, i kazali mu u spodu swierku nazawsze się czołgać, na znak poniżenia tych mężczyzn, co wśród czułości przed kobietą ukochaną zwierzają się z tajemnicami, których zachowanie siły kobiece przechodzi. Swierk zaś swemi żałośnie opuszczonymi gałęziami i postacią smętną, wedle zdania Litwinów, ma nauczać kobiety chciwe zbadania sekretów swych mężów, że posiadanie tajemnicy najczęściej jest przyczyną zguby, i że stokroć lepiej nie znać jej wcale, niż uginać się pod jej ciężarem, albo runąwszy z nią w przepaść, i drugich za sobą pociągnąć.

* * *

Na zakończenie niech nam wolno będzie sprostować zdanie tych, którzy bez własnego przekonania, wierząc tylko na słowo innym, nie wahają się wystawiać Litwina jako uosobienie zaciętości, skrytości, obłudy i zemsty.

Taki sąd, jest sądem ludzi ciemnych i niehonorowych. Ciemnych, bo nie znając Litwinów, ubliżają ich charakterowi, lub z wyjątków niekorzystnych, jakich w każdej narodowości niemało, stanowią regułę i stosują ją do ogółu. Niehonorowych, bo sąd stronni i nieuzasadniony, jest dowodem braku szlachetności, jak każda na świecie niesprawiedliwość.

Nie zaprzeczamy że Litwini mają swe ułomności i wady, ale powściągliwości języka, oględności, nie narzucania się z przyjaźnią, braku pochopu do zwierzeń, nie dania się namówić do szaleństw na wezwanie pierwszego lepszego półgłówka, szanowania groza, odmawiania pożyczek piędziutych utrącającym na rozpustę, zdaje się że nikt z ludzi rozsądnych za wadę im nie poczyta. Sumienne zaś wypełnianie obowiązków towarzyskich i rodzinnych, hart w poźyciu i pracy i t. p. za niepospolite zalety uważamy.

Aleksander Osipowicz.

Przegląd piśmienniczy.

(Dokończenie)

Ależ to zupełne zniszczenie poezji! może nie jeden się odezwie. Nie sądźmy. Ducha ludzkiego nie można dzielić na jakieś komórki i przegródki, niemające ze sobą styczności i wzajemnego związku. Jest on jednolitym. W rozumie przeto znajduje się i uczucie, bo nie można pojąć istoty rozumnej bez serca — tak samo jak w sercu, o czem wyżej

mówiliśmy, przebywa prawdziwy rozum i mądrość. Chodzi tylko o to, którą przeważnie z tych władz naszej duszy będziemy świat ogarniać. Nie straci on przez to bynajmniej swego przedmiotowego bytu, a zatem w obu razach zarówno może obudzić natchnienie.

Użyjemy tutaj małego porównania. Jeżeli patrzmy na otaczające nas przedmioty przez dwa szkła różnego koloru, przedmioty te, chociaż barwa ich się odmienia, nie tracą jednakże nic ze swoich istotnych własności, my tylko sami zmieniamy sposób ich widzenia.

Jednym słowem, przyszłego genialnego poety, który w omdlałą dzisiaj istotę poezji wleje siły nowego życia, wystawiamy sobie z poważną grozą myśli na czole. Może to będzie jaki Voltaire XIX wieku, który wyśmiewa niejedno z naszych marzeń, który zburzy wiarę w niejedyn sens uroczy obruszy się nawet na chwilowy szal i entuzjizm swych poprzedników. Może to będzie jakiś nieustraszony anatom serca ludzkiego, który ze wzruszeniem wewnętrznym, choć ręką pewną, bez zadrzenia zapuści skalpel w łono społeczeństwa, a my, choć zepchnięci z piedestału na który nas podniesiono, będziemy musieli zawołać: jak on przejrzał nasze dusze, jak zbadał naszą naturę! Może to wreszcie będzie poeta, który odwróci oczy od przykręj teraźniejszości i utopiwszy myśl swoją w ubiegłych wiekach, wyśpiewa o tych czasach, istniejących tylko w krainie idealnej, pogodną, pełną posagowej prawdy epopeje. Jakikolwiek on jednak będzie, pogodzi bezwzruszenia nieprzyjaźnie naprzeciw siebie stojące uczucie i rozum i stanie się wyrazem łączącej w sobie te ostateczności — myśli.

Nim to nastąpi, cóżby wypadało poetom uczynić? Oto myśleć, gdzie i jak wynajdą sobie nowe drogi, a może czekać, dopóki duch czasu sam nie dojrzeje, nie przybierze oznaczonej postaci i napełniwszy sobą umysłową naszą atmosferę, nie zmusi ich prawie gwałtem do zostania wyrazem jego świadomości.

Podobnego milczenia jednak niepodobna nakazać. Natura pracuje bez przestanku — i poeci, mimo widocznego braku wewnętrznej treści, wydają na świat swoje płody. Ale te nie mają w żyłach krwi swoich ojców, żyją reminiscencyami i naśladownictwem tej poezji, która wiecznie pozostanie w dziejach sztuki i literatury drogocennym skarbem, ale podawana dzisiaj w błędnych kopiach, nie odpowiada usposobieniom ogółu i nie znajduje u niego sympaty.

Pomiędzy dzisiejszymi poetami trzy dają się spostrzegać kategorie. Jedni, korzystając z wyrobionego przez genialnych pisarzy języka i formy poetycznej, hołdują samym zewnętrznym przyborom poezji: gładkości wiersza, doborowi rymów i t. p. i wykończają bez natchnienia udatne na pozór obrazki, które dobrze mogą się wydać na białej karcie książki, ale tracą swoją wartość w życiu i w umyśle czytelników. Jest to niby dalszy ciąg owych pseudo-klasyków, poprzedzających poezją romantyczną. Drugi rozrywają na sztuki szatę Mickiewicza i Krasińskiego, uważając się za ich spadkobierców w wieszczaniu i apostołowaniu. Mistycyzm i mglistość pojęć, a przytęm zaniechanie nieraz formy, są cechami ich utworów, przez które prawie zawsze przebija się osobistość autora, udrapowana w poważną togę, na koturnie i z wystudowanym na efekt wyrazem twarzy. Często szlachetne serce jest jedynym źródłem podobnego natchnienia, często także zbyt przecenianie sił swoich i fałszywa wiara w swoje wieszczanie posłannictwo, które nie zdoławszy podążać za zmianą czasu, nie wzbudza podobnej ufnosci w słuchaczach. Nakoniec trzeci rodzaj poetów pojawił się i stał się niejako modnym w ostatnich dopiero czasach. Pochodzi on w prostej linii od Słowackiego, a Byrona, Alfreda de Musset, Heinego uznaje za swe bóstwa opiekuńcze. Jakkolwiek ci poeci kontrastu i ironii najwięcej może zbliżają się do ducha swego czasu, łatwość jednak w naśladowaniu poezji opartej na tej podstawie, i niewstrzymywana pewnymi granicami licencyja sprawiły, że ich utwory rzadko nie grzeszą przesadą i rzadko podnoszą się nad trywialność.

Z obowiązku i z wewnętrznym zadowoleniem musimy wreszcie przypomnieć, że posiadamy szczerą wprawdzie liczbę i takich poetów, którzy nie podlegając żadnej z powyższych kategorii, z pomyslnym skutkiem pracują na niwie poezji, cho-

ciaż nie obdarzyli nas dotąd żadnym genialnym utworem, świadczącym o postępie lub nowym zwrocie poetycznego ducha.

Mimowolnie prawie nasunęły się nam na myśl podobne uwagi, na sam widok małej książeczki, wydanej przed kilkoma tygodniami p. t. *Miron. Pieśni.*

Roztworzywszy ją, widziemy że obejmuje dwie obszerniejsze powieści i kilkanaście drobnych wierszy, a dość spojrzeć na ich tytuły, aby wiedzieć z kim mamy do czynienia. Godło ze Słowackiego, nazwiska Byrona, Musseta, Heinego, uderzające nas na pierwsze wejrzenie, pokazują od razu stanowisko autora. Pan Miron należy do tej szkoły, która wylaniem w świat żółci stara się zleczyć rozdarte swoje serce.

Pierwszą z powieści jest: Don Juan, imię tak rozgłoszone w dziejach sztuki i mimowolnie nasuwające nam na myśl rywalizacyją z Byronem i Mozartem każdego, kto sobie obiera ten przedmiot.

Cóż to jest Don Juan p. Mirona? Człowiek urodzony w wyższych sferach, wkrótce sierota bez ojca i matki, lecz z ogromną fortuną. Opiekunowie wychowują go jaknajgorzej, zaszczepiając w młodociany umysł wszystko złe zepsutej cywilizacji. Dorósłszy, Don Juan sam dokończy w tym kierunku swą edukacyją — osiedla się w Paryżu, pije szampana, gra w ruletę, tańczy kankana, zabija ni ztąd ni zowąd jakiegoś bursza w pojedynku i ucieka do Heidelbergu, gdzie zaprasza do sławnej beczki córkę swego profesora. Ojciec przeszkadza mu w tej schadzce; Don Juan jedzie więc do Oksfordu, a ztamąd, przeszedłszy wszędy i wzdłuż świat cały, przybywa wreszcie do Neapolu. Tam kupuje sobie za sto skudów „cudną Beatę“, ale jakiś artysta włoski ma tyle nierozsądku, iż się w niej kocha i wyzwałszy Don Juana na amerykański pojedynek, polyka dla miłości awanturniczej gałkę z trucizną. Don Juan z najzimniejszą krwią każe trupa wyrzucić i idzie na balet — autor zaś pieśń przerywa, zmuszając nas do zapytania: i cóż dalej?

Wolno było p. Mironowi pieśń przerwać kiedy mu się podobało, ale w tém co wyśpiewał, obowiązany był odpowiedzieć warunkom sztuki.

Przy podobnym przedmiocie jak Don Juan, cała siła natchnienia musi być obróconą na stworzenie charakteru. Bo Don Juan to typ — to człowiek przedstawiający pewną epokę. Pan Miron, jak z jego lirycznych epizodów wiśniemy, miał sam podobny cel na oku, ale nie spełnił go bynajmniej. Jego Don Juan jest zwykłym, zepsutym człowiekiem, bez serca i rozumu, istotą bez woli, która nie umie poznać i zwalczyć złych skłonności natury i brnie coraz dalej w głupstwa i występki, bez żadnej świadomości swych czynów. Nie możemy czuć dla niego najmniejszej sympaty, ani nie drżymy przed potęgą jego złości; wywołuje on ledwie uśmiech lekceważenia na nasze usta.

Ale przypuszczamy nawet, że wolno autorowi stworzyć osobistość, która pod żadnym względem nie zaspokaja naszego moralnego poczucia — lecz niechże będzie skończoną jako utwór sztuki. Tego nie można powiedzieć o Don Juanie p. Mirona. Jego przygody są tak pospolite, tak trywialne i nieciekawie, że nie wiemy nawet zkąd został Don Juanem nazwany, bo podobnych bohaterów można setkami znaleźć na każdym miejskim bruku. Czyż ma być Don Juanem dlatego, że tańczy kankana, że ucieka z przestraszczeniem przed starym profesorem, że sobie kupuje jakąś łafiryndę? Prawdziwy Don Juan wstąpiłby się podobnych kroków.

Najważniejszy jednak zarzut można uczynić p. Mironowi pod względem wykonania. Powieść jego wygląda jakby na jakieś sprawozdanie; jest opowiedzeniem dorywczym, a nie poetycznym przedstawieniem wypadków. Są one ledwie napomknięte, tu i owdzie ledwie naszkicowane, tak że w całym Don Juanie nie mamy ani jednego wykończonego obrazu. Fantazja autora była prawie bezczynną i jego utwór nie daje żadnego pokarmu naszej wyobraźni.

Pojmujemy dobrze, zkąd pochodzi ten brak poetycznego kolorytu i plastyczności, czyli, mówiąc otwarcie, brak poezji w tej powieści. Autor pominął widocznie i charakterystykę osób, i przedstawienie wydarzeń, bo mu chodziło o coś więcej, o wypowiedzenie swego sądu o drogach ludzkości.

Ale należało pamiętać, że to da się uczynić nie tylko w mowie i w literaturze, ale i pod postacią postaci, jak również że poeta może ten cel osiągnąć, lecz tylko pośrednią drogą, przy pomocy przedstawianych w niej ludzi i wypadków. Liryczne zatem digresje, filozoficzno-socjalne refleksje zajmują pierwsze miejsce w Don Juanie p. Mirona i przeważają wartość jego poetycznej kreacji. Byron iłowicki dali przykład do podobnych licencji, nie wszystko jednakże wszystkim wolno. Tamci poeci mocą swego geniuszu, poezją rozlaną obficie po ich utworach, dowiedli swych praw do podobnej emancypacji; u p. Mirona jest ona dotychczas uzurpacją i wypłynęła z naśladowniczej manieri. Sam autor po dwakroć przyznaje się w swych pieśniach, że chorował na Manfrę, każda zaś choroba poetyczna jest bardzo niebezpieczną dla prawdziwej poezji i chociaż chwilowo, musi spowodować za sobą nadwątlenie organizmu. Minał już czas kiedy popłacała chorobliwa, szpitalna poezja. Dla własnej jej chwały i dla dobra ogółu, nie życzymy sobie nigdy jej powrotu.

Pan Miron tak wielką jednak wagę przywiązywał do tych lirycznych ekskursji, które, bądź co bądź, powinny być zostać rzeczą podrzędną, iż nie zwrócił uwagi, jak nieodpowiedni stosunek wypadł przez to pomiędzy nimi a właściwą powieścią, stosunek nieodpowiedni tak co do jej rozmiarów, jakoteż i wartości. Komuż bowiem przyszłoby na myśl, że autor lekkiej powieści o jakimś utracyuszu (bo takim jest Don Juan p. Mirona według naszego zdania) będzie się czuł powołanym do poważnych wyroków, jakby z trójnoga orzekających o ludzkości, jak np. na str. 20.

„Już pieśń ta moja końca niedaleka i t. d. (1)

lub:

„Ludzka komedyo! na scenie świata
Czterdzieści wieków grana bez przerwy“ i t. d.

Odzywając się w podobnym tonie, który można wydać tylko z wielkiej głębokości ducha, naraża się autor na niebezpieczeństwo, że jeden lub drugi z czytelników może go posądzić o sztuczność natchnienia i pretensjonalność.

My nie posądzamy go o grzech tak ciężki. Widziemy w tym tylko lekceważenie z jakim zabrał się do pracy.

Rozszerzyliśmy się cokolwiek o Don Juanie, bo w nim pokazał p. Miron swoje pojmowanie poezji, chociaż nie rozwinął w nim tego talentu, jaki gdzieś spostrzec się daje. Nadto ten Don Juan nie jest tylko Don Juanem p. Mirona; w nim przedstawia się dążność i rodzaj poetycznego stylu wielu jeszcze innych autorów, którzy wchodząc niezręcznie w ślady olbrzymich talentów, na manierowanej ironii i goryczy nie płynącej z serca ścisłonego bólem, zasadzają istotę swęj pseudo-poezyi. O nich wszystkich można powiedzieć, że nieszczęśliwie swoje wzory obrali. Łatwiej naśladować Mickiewicza lub Wiktora Hugo, niż Byrona i jemu podobnych, bo wyraz prawdziwej pogardy lub oburzenia, w tych którzy nie posiadają wielkiego a zbitego serca, zamienia się w grymas i karykaturę.

Druga powieść p. t. „Dziwna pieśń,“ z lakonicznym szekspirowskim godłem „Horror!!!“ jest zapewne alegorią, której jednak znaczenia nie mogliśmy odgadnąć. Co do sposobu pisania i wartości, stoi ona na równi z Don Juanem: taż sama przewaga digresyj nad opowiadaniem, taż sama w nich przesada i widoczne ubieganie się aby nagromadzić jaknajwięcej różnorodnych myśli, wybranych na chybił trafił i niespodziewanych dla czytelnika. Sztuka poetyczna zapożycza się widocznie u tak zwaną wyższą magii. Autor trzyma się ściśle słów swoich:

„Licencjo, cześć ci na twoje ołtarze
Jabym zniósł wszystkie stare kałamarze
I z nich narobił ogromnego dymu,
(Gdybym nie znalazł koniecznego rymu
Do drugiej strofy) a teraz do pracy! (str. 28)

Resztę „Pieśni“ składają ulotne wiersze. Jakkolwiek natchnienie w nich nie jest oryginalne, bo i tutaj czujemy dotykally wpływ Musseta i Heinego, co sam autor niejako wypowiedział, pisząc dwa sonety na cześć tych poetów, jednakże kilka z tych wierszy daje nam lepsze wyobrażenie o talencie p. Mirona, niżli poprzednie powieści. Widać że tam, gdzie musiał się miarkować wymaganiami sztuki i zamknąć w ściślejszych granicach, był zdolny zastąpić zbyteczną licencją prawdziwymi nieraz zaledni poezji. „Fragment“ (Część I) „Dziwecze i ptak“ „Konające“ należą do najlepszych pod tym względem.

W ogóle u p. Mirona strona techniczna, będąca pierwszym szczeblem prowadzącym do wysokości sztuki, najwięcej może nas zadowolić, lubo nie wszędzie. Siły twórczej, mianowicie na utwory obszerniejszych rozmiarów, nie dowiódł p. Miron w swoich pieśniach. Tę jednak można do pewnego stopnia wyrobić w sobie pracą ducha i myślenia, jeśli kto nie otrzymał jej w podarunku od natury. Zyczylibyśmy więc p. Mironowi, jeśli zdanie nasze zasługuje na uwagę, więcej skupienia wewnętrznego, bo drogą swawolnej igraszki z poezją, jakkolwiek ta niejednemu ponętną się wydaje, nie można dojść do siedziby parnaskich bogiń.

Adam Belcikowski.

SLUŻĄCY WARSZAWSCY.

(Dokończenie).

Lokaj obcuje z ludźmi, stangret ze zwierzętami; więc ten ostatni lepszym bywa zwykle. Główną wadą stangretów jest pijaństwo, a i tego nawet nie można uważać za wadę, bo bywają stangreci którzy w stanie opitym najlepiej powożą. Wówczas dopiero rozjaśnia im się w oczach i nabierają tak potrzebnej na koźle fantazyi.

Stangret przez to już samo że służy w domach zamożniejszych, chociażby tylko z pozoru, jest arystokratą w stanie służebniczym. Bywają stangreci pobierający dwa lub trzy tysiące pensyi rocznej i zwolnieni od obowiązku utrzymywania w porządku stajni, czyszczenia koni i t. d.; całkiem ich zatrudnieniem wziąć bat i lejce do ręki i powozić, kiedy panu lub pani przyjdzie chęć przejechania się.

Gdy lokaj jest zwolennikiem celibatu, stangret przekłada życie rodzinne. Jeśli ma dzieci, to konie szwankują na tym, bo owies dzieli się po połowie i stangretowe dzieci tyją na owsie pańskim, jakkolwiek nie mają zwyczajny w naturze go pożywać. Pomimo tego czuje on pewne przywiązanie do zwierząt z którymi go tak blizkie łączą stosunki, a nawet pokłada na tym jakiś rodzaj miłości własnej, ażeby ekwipaż dobrze się przedstawiał.

Stajnia stanowi dla niego dom oddzielny, a umiejętność jeżdżenia powołanie. Dlatego, jako człowiek specjalny, niechętnie się z resztą służby zadaje. Przekonany o swoim koniuszowskiem wykształceniu, z góry patrzy na tych ludzi, którzy nie umieliby nawet skontrolować dobrego podkucia podkowy.

Pan który zna się na koniach i umie je szanować, jest dla stangreta ideałem. Przywiązuje się on do takiego pryncypała i ceni sobie wielce służbę u niego. Najlepszym sposobem zyskania szacunku stangreta, jest wziąć lejce w ręce i pokazać mu że się lepiej jeszcze od niego powozić umie.

Z wyjątkiem pijaństwa i tradycyjnej kradzieży na owsie, stangreci bywają moralniejsi od innych służących, może z powodu oddzielnego stanowiska jakie zajmują w hierarchii domowej.

Stangret wiejski a miejski, to dwa oddzielne typy, które żadnego podobieństwa ze sobą nie mają.

Stangret wiejski zachował daleko więcej z dawnych czasów, tradycya w nim żyje. Więc chomonta krakowskie są dla niego (i słusznie poniekąd) nie tylko najwygodniejszym ubraniem dla konia, ale ioczytem ozdoby tego zwierzęcia. Starannie zaplata trzaskawkę w końcu bata, żeby oznajmiać głośnym klaskaniem o przybyciu swoim, czy to przed kościół, kiedy państwo na ranne zjeżdżają nabożeństwo, czy też do dworu sąsiedniego. W drodze idzie mu tylko o dobrą i bezpieczną jazdę i do tego przyuczył konie; sam siedzi zaniedbane na koźle; koniom pozwala lby spuszczać i miarkować chód

wedle ciężkości drogi. Ale gdy zajecha do wsi, prostuje się jak trzcina, a poruszeniem lejców i kłusnięciem bata daje znać konom, że nadeszła chwila ceremonialnego pokazania się i zrobienia zaszczytu państwu. Więc zajecha w całym pędzie i osadza na miejscu, a z takiego właśnie osadzenia w porę ciągnie największą chwałę. Do powożenia czwórką majster nielada, zna wszystkie okoliczne dróżki, ścieżynki i drogi; wie doskonale gdzie leży jaki kamień który ominąć wypada i mógłby jechać z zamkniętymi oczami, albo w noc najciemniejszą i pewno nie zawadzi ani przewróci. Że w nim zawsze coś z chłopskiej zostało natury, przekłada dróżki boczne, skracające odległość i ma wstręt do drogi zwirowej; na której, jak twierdzi, powóz się niszczy, a konie podbijają. Niechby najwytrawniejszy stangret miejski próbował jak on przejechać w lesie albo na grobli, to skończyłoby się pewnie na złamaniu powozu i skruceniu karku ludziom w nim siedzącym. Stangret wiejski zna tę swoją wyższość i puszy się nią. W sąsiednim miasteczku królkuje z kozła, slychać go z daleka jak z łoskotem tętni kołami po bruku, a trzyma się środka ulicy, nikomu nie ustępując, bo ma godność własną. Chociażby sam przyjechał po sprawunki, nie zejdzie z kozła, tylko zwołani Josiel albo Mosiek muszą mu przynieść obstalowane rzeczy, lub nawet prosty posiłek, jeżeli go zapotrzebuje.

Zato w Warszawie pokornieje i chociażby nawet często tu bywał, nigdy nazw ani rzeczywistego położenia ulic dokładnie się nie nauczy. Wir powozów i omnibusów mać mu w głowie. On, taki dumny na wsi lub w miasteczku, tutaj ustępuje każdemu; na widowiskach i zabawach publicznych, chociażby dawno przyszła na niego kolęj zajechania, zawsze się znajdzie na szarym końcu, bo mu imponują milicyanci i świetne ekwipaże. Pokornie znosząc żarty miejskich kolegów i nie umiejąc im odpowiedzieć, klnie ich jednak w duchu, i dlatego Warszawy nie cierpi, a jechać do niej jest prawdziwą dlań karą, twierdzi bowiem że tu owies sprzedają na wagę złota, (w czym jest trochę prawdy) a konie i ludzi za nie uważają.

Przeciwnie miejski czystej krwi stangret czuje prawdziwą swoją wartość na bruku ulicznym. Trzeba go widzieć jak z fantazyą na wywyższonej poduszce zasiada na boku kozła, z jaką pewnością pełną wdzięku bierze lejce w ręce, a bat trzyma od niechcenia, nigdy prawie go nie używając. Majster nielada w wymijaniu powozów, dorózek i omnibusów, nigdy nie zaczepi, nigdy nie zwolni biegu, nie lubiąc kiedy go inni wyprzedzają i z przymusu tylko pozwalając na to. Chwała jego automedońska jaśnieje dopiero w całym blasku przy przyjeździe na wysięgi konne, albo na Bielany. Tam to trzeba zręczności niemałej, żeby z każdej prawie stopy miejsca korzystając, uniknąć wypadku, koni nie zranić, powozu nie nadwreżyć, a jednak nie ustąpić nikomu. A jeszcze trudniej, kiedy podczas widowisk i koncertów stanąć przyjdzie w rzędzie powozów na miejscu oznaczonym, tak umiejętnie jednak, żeby zawsze znaleźć się gotowym do zajechania, skoro państwo zwołają. To już jest prawdziwy kamień probierczy jppo umiejętności, długoletnią tylko zdobyty praktyką.

Prawdziwy stangret warszawski zna wszystkie ulice i zaułki miasta, nigdy się niewiadomością nie zaslanając. Choćby nie wiedział, nie pyta się, bo to uwłaczałoby jego godności. Zawsze musiał gdzieś służyć u pana hrabiego i z chlubą wspomina te świetne czasy. Na dorożkarzy patrzy z pogardą, chociaż czasem zazdrości im ich niezawisłości i nieraz jego marzeniem jest kupić sobie konie i dorożkę i puścić się na własny zarobek.

Przechodzimy do ostatniej kategorii służby domowej męskiej, to jest do stróżów.

Zdaje się że dobry stróż, na równi z kwadraturą koła lub perpetuum mobile, jest rzeczą niepodobną do znalezienia. Proszę się przejść od bramy do bramy i spytać każdego gospodarza domu i każdego lokatora, a ręce że wszyscy bez wyjątku będą się skarżyć na stróżów.

Bo też rzeczywiście stróż, jak stworzenie ziemnowodne, jak dwóch państw obywatel, należąc tu i owdzie, nie ma obowiązków ściśle oznaczonych i dlatego żadnych nie wypełnia. Powinien utrzymywać czystość domową, a nawet uliczną, znosić się z połicią i być względem niej odpowiedzialnym, pilno-

(1) Według naszego zdania, wszystko co ten ustęp poprzedza było zaledwie wstępem, prologiem do jednej i jedynej sceny w pieśni 3, do pojedynku między Don Juanem a włochem, którą autor cokolwiek wyraźniej naszkicował.

wać bramy i podwórka, mieć oko na wszystko, a przytém w nocy nie odstępować od furtki i być gotowym na każde zawołanie. Przyznacie że to szereg powinności nie lada, gdyby je sumiennie wypełniać przyszło. Ale stróż ani pomyśli o tém i tylko przymusowym sposobem weźmie się do jakiej roboty. Z powołania leniwiec, a z rzemiosła pijak, z upodobania jest także czasem złodziejem, a przynajmniej ułatwaczem złodziejstwa. Wiadomo nam z pewnych źródeł, że w ostatnich czasach wielu bardzo stróżów było zawikłanych w złodziejskie sprawy.

się nocy nie przespało, a z rana nie było nawet czasu wstąpić do szynku.

Stróż jest wielkim filozofem, o niego bowiem ocierają się wszystkie plotki domowe; zna różne zakulisowe tajemnice; wie że lokator z pierwszego nawet piętra często się spóźnia z komornym i że do tego pana co wydaje wieczory tygodniowe przychodzą egzekucye podatków, a nawet woźni z papierem stemplowym. Więc nie daje się oszołomić świetną powierzchownością, bo wniknął w grunt rzeczy. Prawda że dziesiątka w porę w rękę wciśnięta zagodzi to wszystko, ale też w braku dziesiątki puszcza wodze językowi i goście przychodzący do domu mogą niechętnie ciekawych dowiedzieć się rzeczy.

Stróż jest człowiekiem w pewnej pozycji i z pewną władzą, to też umie z tego korzystać. Służba domowa dba o jego łaski, bo często ich w tém lub owém potrzebuje; lokatorowie nawet, zagrożeni dłuższem czekaniem w nocy pod bramą, w grzeczny muszą się z nim obchodzić sposób. Nowy rok jest dla niego wielkim dniem świątecznym i na dwa tygodnie przed tym terminem stróż staje się doskonałością bez zarzutu, wzorem umiejętności i dobrze zrozumianej usługi. Skoro jednak przemiął ów dzień uroczysty, rzeczy wracają do dawnego trybu.

Stróż konfidentem jest z zasady. Lokatorów, mówiąc o nich, wymienia wprost po nazwisku, unikając dodawania wyrazu pan, bo dla stróża który tajemnicom kuchennym i przedpokojowym zbliżka się przypatrzył, niema światowej wielkości. Każdy lokator ma pięte

Achillesa, a żadna z tych pięć nie jest obcą stróżowi. Informacyj darmo dawać nie lubi, a zapytany o mieszkanie tego lub owego lokatora, odpowiada oburkliwie i z musu tylko, pewien szacunek zachowując wszakże dla ludzi powozowych.

Kto chce ułatwić ze stróżem interes jaki, niech zawsze stara się go zdybać z rana, wieczorem bowiem wódka czyni go podwójnie nieprzystępnym.

Stróż wchodzi w związki małżeńskie, ale po to jedynie, żeby być w możności zwalania na żonę najcięższych swoich zajęć. Uważa on kobietę jako stworzenie niższego rzędu, wyłącznie przeznaczone do tego, żeby dać mężczyźnie sposobność częstszego zachodzenia do szynku. Karność domową utrzymuje energicznie i brama nieraz bywa miejscem głośnych scen dramatycznych. Zasada u niego jest częste zmienianie służby, bo chociaż kamień na miejscu obrasta, nie jest to wcale rolą człowieka, a głównie stróża. Lubuje się czasem w sztukach pięknych i największe miéwa upodobanie w harmonijce, za pomocą której wieczorne echa bramy i podwórka rozbudza. Nawet od pewnego czasu zagłębiła się literatura pomiędzy stróżami, a Kuryery przynoszone do lokatorów, podczas przymusowych stacyj w bramach odbywanych, dają jej sówite pożywienie.

Wacław Szymanowski.

KORRESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Paryż, maj 1867 r.

Ambaras z porządkiem. — Grottger. — Słótko o malarstwie — Nowy utwór Grottgera. — Opis obrazów. — Ogólne ocenienie. — Konkluzye. — *Palmer i olivier* w korespondencyi. — Karykatury Veillota i Girardina. — Ilustracye.

Co to za chwalebna rzecz być człowiekiem porządnym. Chwalebna jest rzeczą być porządnym człowiekiem; lecz częstokroć chwalebniejszą być, powtarzam, człowiekiem porządnym. Powtórzenie to zrobiłem dla czytelnika i dla siebie, w celu usu-

nięcia z góry wszelkiego nieporozumienia, jakieby pomiędzy nami z postawienia przymiotnika przed rzeczownikiem lub po rzeczowniku, zająć mogło; co uczyniwszy, pozostaje mi pochwalić się, że powziąłem dobry zwyczaj zapisywania sobie różnych notatek przez cały miesiąc. Dawniej tego zwyczaju nie zachowywałem. To też dawniej, a było to bardzo dawno, w czasach kiedy jeszcze nie miałem zaszczytu być regularnym Tygodnika Ilustrowanego korespondentem, gdy przyszedł termin pisania mojej korespondencyi, puszczałem się na odszu-



SLUŻACY WARSZAWSKY. STANGRECI.



SLUŻACY WARSZAWSKY. STRÓŻ.

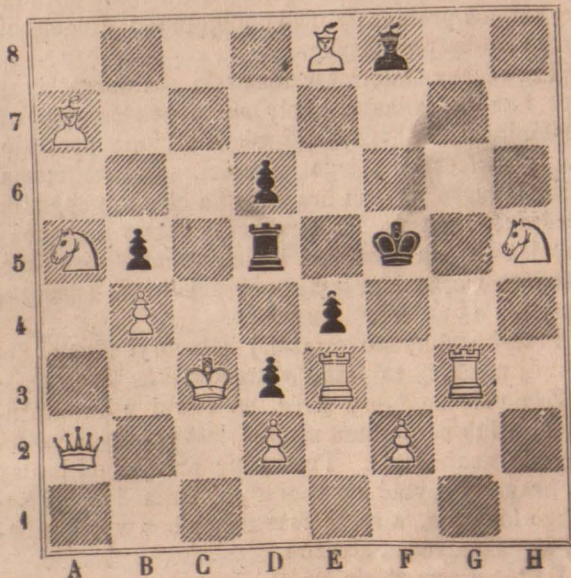
Stróż z położenia swojego jest trochę mizantropem i wrogiem ludzkości, bo ludzkość przedstawia mu się w postaci panów późno wracających do domu i skapiących nawet dziesiątki na piwo, chociaż w mroźną noc trzeba im otwierać *na bosaka*; w postaci sług zanieczyszczających schody i sienie; milicyantów z groźbą w ustach a karą cielesną w perspektywie, i samego pana, który z niczego nie kontent i wiecznie czleka nagania do roboty, chociaż

S z a c h y.

ZADANIE CCCLIX.

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za 8-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 358.

Białe.

Czarne.

- 1) G3—G2 1) E4—E5, F3 lub D3.
- 2) G2—E2, C8—B7 lub C8—F5 † i mat.

kiwanie najlepszej treści. Miałbym dużo o wyrazie „najlepszej“ do powiedzenia, lecz miłość własna każe mi o tém milczeć, témbardziej, że w tej chwili jestem w humorze chwalenia się... porządkiem. Owóż, człek porządny, nie szukam już treści: mam ją z góry spisana na całym arkuszu, rozmaita do nieskończoności, interesująca do najwyższego stopnia, interesująca zwłaszcza dla mnie, dla którego połowa zanotowanych przedmiotów jest... zagadką. Zanotowałem i zapomniałem o co chodzi. Pracuję pamięcią, przyzywam w pomoc imaginacyę: czasami udaje mi się rozwiązać zagadnienie, czasami... ani

(Ob. dodatek).

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 402. Najczęściej modne kolnierzyki podtrzymują pustą głowę.

(Dodatek).

weź. To ostatnie zdarzyło mi się tym razem. Myślałem nad jedną notatką godzin nie wiem ile. Już ją chciałem dać czytającej publiczności do odgadnięcia i byłbym to uczynił, gdybym nie przypomniał sobie, że ma już ona rebusy, z którymi musi mieć niemało całymi tygodniami ambarasu. Więc... przekreśliłem ją, wymazałem z szeregu, jak rzecz niepotrzebną i zabrałem się do drugiej, która była następująca: *Palmier splendide du desert*. Nad tym *palmier* o mało nie oszalałem. Namęczył on mnie... A ponieważ zadaniem moim, jako korespondenta, jest dzielenie się z czytelnikiem postrzeżeniami, wiadomościami i wrażeniami, przeto rzecz o owęj wspaniałej na pustyni palmie, która mnie namęczyła, odkładam na koniec korespondencji, jeżeli będzie miejsce. Jeżeli zaś miejsca nie stanie, odłożę do następnego miesiąca, jeżeli nie zapomnę. Jeżeli zaś zapomnę, ha! szkoda będzie rzeczy nadzwyczajnie ciekawej. Ciekawi czytelnicy pomęczą się trochę, i ja się męczyłem: będzie to więc spełnieniem mego zadania, podzielę się z nimi... męczarnią.

Ale zato podzielę się i czémś jeszcze, czémś lepszym niż „wspaniała palma.“

W pugilaresie moim znalazłem notatkę „Grotgger.“ Nie męczyłem się nad nią, lecz... za kapelusz, parasol, na schody, na ulicę i najkrótszą drogą ruszyłem do pracowni malarza, którego wziętość zaczyna się akcentować coraz to bardziej i bardziej.

Pozwólcie mi słówko o naszych malarzach, a raczej o naszym malarstwie powiedzieć. To co powiem, może będzie oryginalnym aż do bezsensu. Cóż, kiedy mi na sercu cięży. Muszę powiedzieć, chociażby zarzucić mi kto miał, że plotę trzy po trzy.

Gdy rozpatruję się w malarstwie i szkołach różnych, uderza mnie jakby świtanie nowej szkoły, jeszcze nie całkiem wyraźnej, ale już pewnymi rysami charakteru odznaczony. Toruje ona sobie drogę..... w przyszłość. Przezuwam ją, płynącą z tego samego źródła co *Ojciec zadumionych*. Wytlumaczę się z tego w sposób następujący. Niechęć zdarzyła mi się sposobność robienia postrzeżeń nad wrażeniami jakie wywierają na ludziach: *Ojciec zadumionych*, malowidła Matejki i rysunki Grotggera. Znam kobietę dostającą spazmów od czytania pierwszego i na widok drugich. Znam ludzi, których ci autorowie do łez poruszają, w sposób zupełnie jednakowy. Robiłem doświadczenia na sobie: doznawałem zupełnie jednej i tej samej natury wrażenia. Robiłem doświadczenia na tych, których to nie porusza, co ganią Słowackiego, albo ganią Matejkę, a chwalą Grotggera, lub naodwrot, dla jednych i tychże samych powodów. Wyraźnie pomiędzy tym poetą i tymi malarzami zachodzi pokrewieństwo ducha, powinowactwo wyobraźni, prowadzące ich w jednym i tym samym kierunku, w kierunku całkiem nowym, jeszcze przez krytykę nieokreślonym, ale już uwytatnionym.

Nie mam prawa stawiać jako krytyk i określać kierunku nowej szkoły. Powiedziałem wyżej, że „przezuwam ją“ i przy tym pozostaję. Zrzuciłem ciężar i tym swobodniej będę wam rozpoviedał o najnowszym, jeszcze w tece spoczywającym Grotggera utworze.

Utwór ten, nowonarodzone dziecko, nie jest jeszcze ochrzczone. Nie wiem jak mu na imię; nie wiem nawet jakiego mu imię dać wypadało. Treść nie nosi na sobie barw ni cech lokalnych; nie można jej odnieść do żadnego narodu, chociaż każdy może się do niej przyznać, z powodu kosmopolitycznej, humanitarnej myśli, przewijającej się w akcji, a rozłożonej na dziewięć obrazów. Jest to pełen przeobrażających piękności, dziewięcioaktowy dramat, poprzedzony prologiem. Gdyby to odemnie zależało, nazwałbym to dzieło: „*dramatem wojennym*“; nazwałbym je może: *geniuszem wojny*, *dziełem wojny*, *wojenną tragedią*. Lecz, że to odemnie nie zależy, poprzestaję więc muszę na roli prostego *cicerone*, któremu trafiła się gratka opowiadania o rzeczy o której nikt jeszcze nie opowiadał.

Znacie wędrowkę Danta po piekle, czyściu i niebie. W piekle i czyściu przewodniczył mu Wirgiliusz, w niebie przewodniczką jego była Beatrycja. W obrazach Grotggera o których mowa, niema Wirgiliusza, ale są Dante i Beatrycja, to znaczy: dantejska postać pod przewodnictwem geniusza, odbywa wędrowkę po piekle, w jakie zmienia się ziemia, gdy dotknie ją plaga wojny. Postać owa, jest

to młody malarz-artysta, geniuszem niewiasta o klasycznych rysach oblicza, z gwiazdą nad czołem. Moznaby tę niewiastę uważać jako upostaciowanie natchnienia artysty. P. Grotgger dobrze, podług mnie, zrobił, że jej nie uskrzydlił. Idzie ona po ziemi jak zwykła śmiertelniczka, oblekają ją śmiertelne ziemskie kształty, a mimo to bije z niej coś niezemskiego. Ma gwiazdę nad czołem i na rysunku wygląda mglisto, niby cień, a nie cień, niby duch, a nie duch.

Młodzieniec-malarz, w otoczeniu godeł znamionujących pracownię, siedzi przed sztalugą i ręką w rejsfeder uzbrojoną, podparł zadumane czoło. W pracowni zjawia się niewiasta, z gwiazdą nad czołem. Młodzieniec nie widzi jej, lecz obecność jej przezuwa. Widać to po jego zadumaniu, napiętnowanym smutkiem. Ta niewiasta nie jest mu obcą, dlatego snadź jej pojawienia się nie ma potrzeby przyjmować etykietałnie, z uśmiechem powitania na ustach. Nie jest mu ona obcą, ona wydzieliła się z niego, jest nim; ona i on stanowią jedną wykończoną, doskonałą całość. Artysta rozdzielił ich dlatego tylko, żeby widzom pokazać całość w częściach, w stanach. Stan serca, to on; stan duszy, to ona. Będziemy przeto tę całość istoty ludzkiej nazywali *on i ona*.

Pierwszy akt—obraz rozpoczynający szereg dzieł, jest jakby komentarzem prologu. Widziemy sielski pejzaż: rosochate drzewa, w perspektywie wieża kościoła, w cieniu drzew rodzina, przedstawiająca się we wszystkich czterech dobach wieku ludzkiego i w tej rodzaju ludzkiego połowie, której przyrodzona słabość i delikatność wymagają opieki pokoju, skrzydeł prawa, troskliwości obyczajów i ramienia religii. Staruszka babka, poważna matka, rozkochana dziewczyna, dziecko i jeden mężczyzna, ale kochanek, stanowią grupę pod drzewami. Rozkochana para usunęła się trochę w głąb; dziecko, rzuciwszy wolant, którym tylko co piłkę podrzucało, przygarnęło się do starszych kobiet; pies u nóg związał się w kłębek; matka zapomniała w rękę nożyczek, które snadź tylko co się posługiwała. Wszystkich oczy zwróciły się do góry, z wyrazem tej trwogi z nadzieją złączoną, co to złemu przecuciu ulega, lecz się mu nie poddaje całkowicie. Może Bóg odwróci nieszczęście, którego zapowiedź pojawiła się na niebie w postaci komety. Złowrogi znak wlece za sobą długi smug ognistego ogona. Babka i matka i dziecko wpatrzyły się weń; kochanka zawiesiła się na ramieniu młodzieńca i pochyliła się ku jego uchu ustami, jakby mu szeptała: „luby, ty mnie nie opuścisz.“ A na drugiej stronie obrazu *on i ona*. *On* w stroju wędrownym, udrapowanym na nim na wzór starożytny, z pielgrzymim kijem w rękę, patrzy się w zamyśleniu na kometa; *ona* w takimże stroju, z gwiazdą nad czołem, tłumaczy mu znaczenie niebieskiego zjawiska.

Akcją dramatu rozpoczyna właściwie drugi obraz, przedstawiający losowanie. Komnata; w komnacie stół papierami założony; na środku stołu urna z płaskorzeźbą, wyobrażającą parki przedzące nić żywota; pod ścianą miara do mierzenia wzrostu człowieka; za stołem mieszana cywilno-wojskowa komisja; przed stołem młody człowiek, z pozoru i stroju uwiera francuzkiego przypominający, z zagłębioną w urnie ręką: oto całość obrazu. Dodatkowo jest tam szyldwach przy drzwiach, broniący wstępu wdzierającym się z zewnątrz kobietom; dodatkowo także są *on i ona*... nierozdzieleni. Losujący odwrócił oczy od urny. Macą mu spokój rezygnacji krzyki kobiet, odpychanych przez szyldwacha. To jego matka i siostra. On je utrzymywał pracą, która, przy Boskiej pomocy, zapewniała matce spokój na stare lata, siostrze wiano i wyprawę,—i oto, cała pewność zależną się stała od kaprysu losu, losu, który się ubłagać ani przeinaczyć nie da. Tak, albo nie, pośredniej drogi niema. Nieubłagalność losu przedstawia jeden z członków komisji, i to cywilny. Wojskowi ze społecznym na młodego uwiera patrzą. Ach! i oni zostawili matki i siostry. Cywilny patrzy bez społecznia... bez litości; gniewają go „te baby.“ Pójdą z torbami, co z tego?! Tej ofiary wymaga... przemysł. Potrzeba go zniszczyć w sąsiednim państwie, popalić fabryki, zburzyć komunikacyjne drogi, zubożyć kraj: tego wymaga *salus industriae*; a on, obywatel, który milionowy kapitał włożył w przemysłowość i ten kapitał, z powodu przemysłowego rozwoju w sąsiednim państwie, prze-

stał przynosić mu odsetki 100 za 100, on dowiódł niedawno w parlamencie, że *salus industriae* jest to *salus imperii* i zawotował budżet na wojnę. Więc mu potrzeba żołnierzy, żołnierzy jaknajwięcej i jaknajlepszych, młodych, zdrowych, silnych, odważnych, ażeby skończyć jaknajprędzej, ażeby jaknajprędzej pobierać w dwójnasób od włożonego w wojnę kapitału procenta. Cóż go „jakieś tam baby,“ negdzą i towarzyszącym jej moralnym zepsuciem zagrożone, obchodzić mogą?... Obchodzi go to, ażeby ten silny i zdrowy chłopiec wyciągnął los na żołnierza. Niecierpliwi go chwilowa niepewność. Młodzieniec zadługo rękę w urnie trzyma. Ale ta niepewność nie jest niepewnością dla wszystkich na obrazie. Młody robotnik wyciągnie los na żołnierza. *On i ona* wiedzą o tém. Widzenie w blizkiej przyszłości losu rodziny, tej podstawy moralności, przejęło naszego wędrowca boleścią: schwycił się ręką za włosy. W twarzy jego i oczach taki jest wyraz, jakby pierś jęknęła: „och!“

W trzecim obrazie artysta pokazuje nam stronę wojny piękną, rycerską, tę która rozbudza ciekawość i ściąga tłumy widzów, tę do której Antoni Malczeski zastosował słowa:

A ty, pyzate dziecię, co patrzysz z pod strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy.

Na obrazie jest pyzate dziecię, lecz niemowlę na rękę matki, która ze smutkiem spogląda na marszerujących kirasyerów. Przeciągają oni piękni, groźni, chłop w chłopa, koń w konia, mimo otwartej furtki od wiejskiej zagrody. Nad nimi wionie sztandar, nad nimi lecą kruki. *On i ona* w głębi obrazu wyglądają z za grubopienego drzewa i patrzą za przechodzącym rycerstwem i... wiedzą z czém ono idzie i co niesie.

Z czém idzie? co niesie? to nam [powiada obraz czwarty. Na pierwszym planie *on i ona*. *On* cisnął kij pielgrzymi, splół ręce i zwał się za skałą. Powaliła go boleść, wyrażająca się w oczach zastygłymi błyskawicami. *Ona*, gwiazdzista przewodniczka, oparła się o kamień, wpatrzona w bój który wre w głębi. W dali widać: szyki, palące się miasto i latające przez powietrze pociski. Granaty bądź, niby komety, śmigają ognistymi ogonami, bądź w kształcie skłębionego, oświetlonego połyskiem płomienia i zaczernionego czerepami dymu, pękają w powietrzu. Bliziej, to w bezładnych kupach, to pojedynczo, widać ratujących się spokojnych mieszkańców, ocalających ostatki ciężko zapracowanego dobytku. Ten wiezie coś konikiem, którego ciągnie za uzdę, zmuszając do pośpiechu; ta zgięła się pod ciężarem który dźwiga na grzbiecie; owa uprowadza dziatwę; inna biegnie przestraszona i zrozpaczona.

(Dokończenie nastąpi).

Wilno 1867 r. w maju.

Zgóry zapowiadam, że przedmiotem dzisiejszej mojej korespondencji w przeważnej części będzie kilka słów poświęconych wspomnieniu człowieka, który najlepszą część życia swego spędził w Wilnie, a przed kilku tygodniami oddał Bogu ducha w Warszawie. Domyślam się zapewne, że zamierzam mówić o Bolesławie Nowińskim, artyście dramatycznym teatru wileńskiego, a następnie warszawskiego.

Mówiąc o tym utalentowanym artyście, mimowoli nasuwa się porównanie z Bogumiłem Dawisonem. Obaj debiutowali w Warszawie i na obu warszawska publiczność się nie poznała; obaj udali się do Wilna, i tu ocenieni zostali, a cały świat cywilizowany, przynajmniej co do Dawisona, zawyrokował, że Wilno miało zupełną słusność. Dziś obie półkule wdzierają go sobie, a odepchnięty figurant sceny warszawskiej, zbiera wieńce i krocie we wszystkich stolicach starego i nowego świata. Nowiński skończył wprawdzie na Wilnie, nie szukał u obcych sławy i ztąd nie zjednał sobie rozgłosu; niemniej jednak był to artysta pierwszorzędnym, i wrażenie jakie sprawiał na tych co go widzieli w odpowiednich dlań rolach, nazawsze niezatartem pozostanie.

Mówię *odpowiednich* i nacisk kładę na tym wyrazie, bo są ludzie, którzy przy pewnych tylko warunkach rozwijają wszystkie swe zdolności i wstępują w całym blasku talentu swojego. Dzieje się z nimi to samo, co z owymi delikatnymi roślinami,

które tylko na właściwym sobie gruncie mogą zupełnie się rozwinąć, przejść fazy kolejne roślinnego życia. Wszyscy prawie sławni artyści dramatyczni w pewnych rolach głównie się odznaczali, a niejedni z nich możeby ani iskiarki talentu nie okazał, gdyby mu narzucono rolę z jego usposobieniem, skłonnościami i upodobaniami niezgodną.

Tak samo rzecz się miała i z Bolesławem Nowińskim. Właściwym polem dla jego talentu były role nacechowane powagą, godnością i blaskiem zewnętrzny, nieodłącznym od zbroi lub purpury. Tu Nowiński był w swoim żywiole; wielkość go nie gniołła, lecz podnosiła, a gdy się raz przejął swą rolę, zdawało się że od dzieciństwa przywykł do dźwigania hełmu lub korony. We fraku przeciwnie ginął, małał, stawał się nieledwie podobnym do regenta w Panu Tadeuszu. Atmosfera społecznych salonów widocznie go dławiała, i nie mógł się oswoić zarówno z jednostajnością naszego życia, jak i ubioru.

Teatr wileński powierzał mu role właściwe jego usposobieniu; to też Nowiński powszechny w najwybrzdniejszych nawet widzach wzbudzał entuzjazm. Talent jego zajaśniał w całym blasku w *Kasprze Karlińskim*, w *Jerzym Lubomirskim* (prolog-Czarnecki), w *Barbarze Radziwiłłównie* (Zygmunt August), w *Listie Żelaznym* (starosta), w *Wieniu Grochowym* (Pasek) i w wielu innych. We wszystkie te role Nowiński tak się umiał wtajemniczyć, wszelkimi ich sytuacjami tak przejął, że zdawało się nieraz, iż widownią jego czynów jest nie teatr, lecz życie. Nade wszystko w *Kasprze Karlińskim* tak wysoko się wznosił, że wątpimy aby jakikolwiek artysta mógł go w tej roli przewyższyć.

Nowiński, pomimo tego iż posiadał niezaprzeczonego talent, nie przestał jednak ani na chwilę pracować nad sobą. Nie wszystkie role przychodziły mu z jednakową łatwością, ani też we wszystkich świetnym było od razu jego powodzenie. Ale w takich razach jeden rozsądny głos krytyki, jedna rada przyjaciela, były dostateczne do wprowadzenia go na właściwą drogę. Okazało się to najdowodniej na *Zygmuncie Augustie* w „*Barbarze Radziwiłłównie*“ Odyńca. Nowiński, czy to dlatego, że nigdy dotąd nie występował w rolach królewskich, czy też z innych powodów, dość że występując poraz pierwszy w roli *Zygmunta Augusta*, odegrał ją tak chłodno, że na całą sztukę jakby powiał wiatr mroźny. Wszyscy co znali ten utwór dokładnie, a zwłaszcza ci, co byli wtajemniczeni w arkanach sztuki dramatycznej, nie taili Nowińskiemu, że gra jego była zazimną, jak na kochanka i męża Barbary. Nadeszło drugie przedstawienie..... i Nowiński przeszedł samego siebie. *Zygmunt August* pokazał się nam takim, jakim być powinien, t. j. z powagą królewską łączył słodycz i czułość kochanka. Nie potrzebujemy dodawać, jak publiczność przyjęła tę metamorfozę.

Nowiński posiadał w wysokim stopniu talent deklamatorski, ku czemu służył mu przyjemny organ głosu, przy rozległej pamięci. Najobszerniejsze poematy recytował od deski do deski, a wiersz nieraz małej wartości w ustach zwyczajnego czytelnika, przez deklamację Nowińskiego niezwykle nabierał mocy i piękności. Próbował też sił swoich w zawodzie literackim, drukując drobne swe utwory tak prozą jak wierszem w „*Czytelnicy Niedzielnicy*“ „*Opiekunie Domowym*“ i kilku innych pismach.

Ojciec Bolesława Nowińskiego, Kajetan, był dyrektorem teatrów prowincjonalnych, oraz autorem kilku komedyj; matka zaś jego jest rodzoną siostrą słynnego artysty sceny warszawskiej Werowskiego. Bolesław debiutował w teatrze Rozmaitości w Warszawie w 1852 r. w „*Odludkach i Poezie*“ w „*Małżeństwie z rozkazu*“ i we „*Włóczędze*“. Doznawszy tam niepowodzenia, grywał w trupie ojca swego, poczem przeniósł się 1857 r. do Wilna, gdzie od razu zyskał sobie rozgłos i uznanie. Na rok lub parę lat przed opuszczeniem tego miasta nabył zakład fotograficzny, gdy jednak nie znalazł na tym polu powodzenia, powrócił do Warszawy w 1864 r. i został zaliczony w poczet artystów tamecznej sceny. Dalsze szczegóły pobytu jego w Warszawie, oraz zgonu, lepiej zapewne wam aniżeli mnie są wiadome.

Przechodząc do bieżących miejscowych wiadomości, wspomnieć musimy o jarmarku, który już dobiega kresu swojego. Czy przyniósł on jaką ko-

rzyść producentom, którzy dolinę Swentoroga zaszczyli swą obecnością? o tem pozwalamy sobie wątpić. Czy skorzystała na tem publiczność? odpowiedź wypadnie twierdząco, jeżeli pod wyraz *korzyść* podciągniemy przyjemne przechadzki po ożywionym placu jarmarcznym i przypatrywanie się gustownie ułożonym towarom, o ile na to pozwalała bardzo niestała i zmienna pogoda. Pewna część jednak naszej publiczności w odmienny nieco sposób umie uprzyjemnić sobie miesięczny czas trwania jarmarku. Oto robi przegląd najszczegółowszy wszystkich potrzebnych towarów, pod pozorem szczerzej chęci kupienia, a rzeczywiście w zamiarze przyjemnego, jak dla niej, przepędzenia czasu. Znany osoby, w których to zamiłowanie do podziwiania pięknych dzieł przemysłu ludzkiego do tego stopnia jest posunięte, że codzień po kilka godzin czasu przesiadują w budach jarmarcznych, dręcząc bez litości subiektów handlowych, ale żadnego zarobku im nie przynosząc. Nie opisuję szczegółowo ludzi tego rodzaju, bo, o ile wiem, i Warszawa nie jest od nich wolną.

Przed Madonną Rafaelową.

Czysta, piękna i święta,
Patrzy w Syna oczęta
Uwielbiona Matka-Dziewica...
Z bólem rzewnym i troską
Dumkę czyta ich Boską
I w nadziejskie wgłębia się lica...

Tęskne, łzawe marzenie
Światła leje strumienie
Na ogromny obszar cierniowy,
Na krzyż męki ofiarny,
Na Golgoty szczyt czarny,
Na odludny kamień grobowy...

Oczy jasne Dziecinny
Widzą smutek matczyzny...
Rączka drobna pierś jej oplata...
Ponad smutnym marzeniem
Cudnym błysło widzeniem
Odkupienie ludu i świata...

I promienny ofiarą,
Szczęściem Boskiem i wiarą,
Wypogodniał duch jej niewieści...
Bóg dał moc Jój potrzebną
Na śmierć Syna haniebna
I na miecze siedmiu boleści.

L. S.

Ze świata muzycznego.

Koncert p. Walerego Wysockiego. — Panny Delépiere. —
P. Józef Dulęba.

Żaden z miesięcy zimowych nie był tak obfitym w koncerty, jak miesiąc wiosenny, maj. Antoni Kątski wystąpił po trzykroć, Ole-Bull po czterykroć, a w przerwach resursa Obywatelska dała dwa poranki dla pp. Królikowskiego i Chęcińskiego, następnie wieczór dla p. Walerego Wysockiego. Z końcem wreszcie miesiąca nadjechały panny Delépiere ze swymi skrzypcami, i nie lękając się nawet pogody i ciepłych dni niesprzyjających koncertom w miejscu zamkniętym, przeciągnęły swój pobyt i na czerwiec, występując już po raz trzeci w teatrze Wielkim.

Koncert pana Wysockiego odbył się 24 maja w resursie Obywatelskiej. Pan Walery Wysocki należał, o ile nas wiadomość doszła, przed pięciu laty do chórów teatru Wielkiego w Warszawie; zapragnął uczyć się i wyjechał w tym celu zagranicę. Zdaje się iż wtenczas niewiele jeszcze zdolności okazywał, bo gdy wyjeżdżając zażądał świadectwa, Dyrekcya teatrów takowego mu udzielić nie chciała. Trafnym wyborem wiedziony, udał się do Włoch, i tam, o ile z rezultatu widzieć możemy, wiele pracować musiał. Głos pana W. jest basowy; nie jest to *basso profundo*, ma więc więcej podobieństwa do baritonu, lecz mimo niewielkiej skali, głos bardzo przyjemny i giętki. Pan W. wykonał najprzód arją z opery

„Nieszpory sycylijskie“ Verdego; potem duet z panem Fillebornem „I Pescatori“ Gabussego; następnie baladę nową „Love Ley“ Troszla, a na zakończenie tercet z opery „Lombardi“ Verdego, z panną Kwiecińską i p. Fillebornem. Tak w solowych śpiewach, jak i w zbiorowych, pokazał p. W., iż go jego instynkt i zapal do sztuki nie zawiodł; każdy z tych ustępów zaśpiewany był ze smakiem i wykończeniem. Słyszając raz jeden śpiewaka na koncercie, trudno z pewnością określić jakim być może na scenie; zdaje się jednak z tego cośmy słyszeli, iż p. W. pożądanym byłby nabytkiem dla naszej opery.

W ogóle wieczór ten był bardzo zajmujący. Panna Kwiecińska śpiewała „Eternamente“ śpiew Melliniego, p. Filleborn zaś romans z opery „La forza del destino“ Verdego. Prócz tego słyszeliśmy na początku: uwerturę z „Oberona“ Webera, w układzie na cztery ręce na fortepian, z podwójnym kwartetem smyczkowym; Romans na obój, z przegrywką na wiolonczeli, (którą ślicznie odegrał p. Szabliński) kompozycyi Dobrzyńskiego, wykonany przez pana Königa, artystę orkiestry teatru Wielkiego, i Adagio z kwartetu Spohra, odegrane przez pp. Angera, Stelmacha, Myszkowskiego i Szablińskiego, a nad program jeszcze duet na fortepian i skrzypce z „Don Juana“, kompozycyi Wolfa i Vieuxtemps'a, odegrany przez pp. Dulebę i Friemana.

Pan Filleborn zachwyił słuchaczów swym śpiewem; jego *mezza voce* jest czarujące, a głos jego w wysokich tonach coraz więcej siły nabiera.

Głos panny Kwiecińskiej z każdym jej wystąpieniem okazuje się równiejszy, postęp także widoczny; brak jej jednak jeszcze tego, co pp. Filleborn i Wysocki już w wysokim stopniu posiadają, t. j. *cieniowania*. Wielka to sztuka każdy frazes muzyczny umieć wykończyć i przez *piana* i *crescenda* właściwie zaokrąglić; bez tego najpiękniejszy głos zmęczy i znudzi słuchacza. Nie każdemu też to jest dane, ale wsłuchiwanie się w dobre wzory wiele dopomaga.

Romans na obój stanowił osobliwość koncertową, instrument ten bowiem rzadko za solowy bywa używany. Pan König znakomitym jest artystą i nie każda orkiestra większa takim pochwalić się może; zadęcie jego jest delikatne i wykończone, a (co często na tym instrumencie zdarzyć się może) nigdy nie chybia. Pragnęlibyśmy toż samo mózdz powiedzieć i o innych instrumentach dętych orkiestry naszego teatru, np. o waltorniach, trąbkach i t. p. Pan König Romans Dobrzyńskiego odegrał — możnaby powiedzieć odśpiewał — prześlicznie.

Wszystkie inne numera programu i nadprogram, również z wielką przyjemnością wysłuchane zostały przez publiczność, chociaż niezbyt liczną, ale muzykalną.

Panny Julianna i Julia Delépiere zaczęły szereg swych koncertów d. 28 maja w teatrze Wielkim. Rozgłos o znakomitym tych sióstr talencie zważył nas na posłuchanie ich gry, i przyznajemy iż więcej znaleźliśmy, niż spodziewać się było można po artystkach jeszcze dziećmi będących; bo starsza, podług ich podania, ma lat 15, młodsza 12. Wiedząc dokładnie ile to czasu i pracy potrzeba do uzyskania jakiegokolwiek mechanizmu na tak trudnym (zwłaszcza dla kobiet) instrumencie jak skrzypce, z podziwienia wyjść nie mogliśmy, jakim cudem w tak młodym wieku dojść można było do takiej skończoności w wykonaniu. Starsza grała Fantazyę-Kaprys Vieuxtemps'a, a młodsza: „Ma Céline“ Haumana; obie zaś: Duet z tematów: „Les dragons de Villars“ Maillart'a i Karnawał wenecki Paganiniego, ułożony na dwoje skrzypiec. Pierwsze trzy numera były z towarzyszeniem orkiestry, ostatni zaś z kwartetem smyczkowym. Panna Julianna zadziwiła nas pięknnością gry. Ile starsza ma śmiałości w atakowaniu frazesu, tyle młodsza talentu; czyli: starsza pokrywa niższość talentu śmiałością ruchów i wielkim zapalem, czy prawdziwym, czy sztucznym, na jedno to wyjdzie, który jednak nie zastąpi nigdy prawdziwego natchnienia młodszej. Mechanizm posiadają obie znakomity; wszystkie trudności, jakoto: staccata w górę lub na dół, pizzi-arco, flazeolety, tryle i gammy z największą łatwością pokonywają. Naszym zdaniem starsza niewiele wyżej się posunie, młodsza zaś, jeżeli nieprzewidziane jakie przeszkody nie wstrzymają dalszych studyów, dojść może do największej doskonałości na swym instrumencie.

Pan Józef Duleba, dawszy się poprzednio kilkakrotnie na cudzych koncertach usłyszeć ze swoją grą na fortepianie, wystąpił nareszcie z własnym koncertem d. 5 czerwca wieczorem w resursie Obywatelskiej. Słyszeliśmy poprzednio grane przez niego Trio Mendelsohna (D min.), Scherzo (H min.) Chopina, Marsza z op. „Tannhauser“ Wagnera układu Liszta, Duet Wolfa i Vieuxtemps'a; ale wyznajemy szczerze, iż ze wszystkich tych występów nie mogliśmy sobie zdać sprawy o rzeczywistej umiejętności p. D. Nie wiemy czemu to przypisać; widzieliśmy od pierwszego razu wielką technikę palców, układ ręki wzorowy, repertuar bogaty, a jednak wiał zawsze jakiś chłód z jego gry, przebijała się jakaś niepewność samego siebie, mimo wielkiej na pozór wprawy i spokoju. Wiedząc z doświadczenia, ile koncertant musi przechodzić wrażeń, nim się oswoi z publicznością, kładliśmy to zawsze na karb niedoświadczenia młodego artysty. I przecucie nie zawiodło nas; p. D. na własnym koncercie, już więcej oswojony z Warszawą, pokazał co umie. Serdecznie się z tego cieszymy, iż dał nam sposobność poznania całkowitego zasobu swego talentu, który go stawia w liczbie pierwszorzędných artystów.

Odegranie koncertu Webera, Sonaty na fortepian i skrzypce Beethovena z panem Friemanem, którego gra znakomita doskonale wtórowała fortepianowi, Tarantelli Broustet'a i nakoniec Fantazy z „Normy“ Liszta — było mistrzowskie pod każdym względem; w Polonezie zaś (As dur) Chopina wyżej wspomniane usterki się ponowiły, a może też 30 stopniowe gorąco w sali koncertowej chwilowo niekorzystnie na koncertanta oddziało. Bądź co bądź, w każdym razie wieszujemy p. Dulebie wielkiego wyrobienia jako wykonawca. Strona techniczna do nadzwyczajnie wysokiego stopnia doprowadzona, strona zaś uczuciowa na tém jeszcze cokolwiek cierpi; jednak wiek młody p. D. i znakomite talent dają nam rękojmię, że i pod tym względem dojdzie z czasem do takiej wysokości, do jakiej mechanizm już doprowadził. Studya arcydzieł sztuki i wsłuchiwanie się w *dobrych śpiewaków* reszty dokażą.

Program wieczoru urozmaicony został przez śpiew pani Dowiakowskiej i pana Filleborna. Oboje byli w dobrém usposobieniu i śpiewali z całym zasobem swych znakomych talentów. Mimo wielkiego gorąca w sali, licznie zebrana publiczność do ostatniej nuty z wielkim zadowoleniem koncertu wysłuchała.

Em. Kania.

ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Walery Morzkowskićj.

(Dalszy ciąg).

LIST X.

Albina do Edwarda.

Z bólem i trwogą odbieram listy twoje, Edwardzie. Lękam się o ciebie, bo w niebezpieczną grę, niebaczną jak zawsze, rzuciłeś przyszłość całą. Ta miłość pożera cię i trawi, odbiera rozwagę, której potrzebujesz coraz bardziej. Ja lękam się ukrytych zamiarów Herakliusza, lękam się przeczuć twoich, a nade wszystko lękam się jęj i ciebie samego. Wyzwałeś do walki nieznaną ci potęgę, wszedłeś w świat nowy, ukochałeś istotę której pojąć nie umiesz. Dotąd ukochałeś i walczyłeś z ludźmi na ziemi, i byłeś silny wiarą, wytrwaniem, uczuciem, ciepłem serca i ciepłem myśli; dziś kochasz i walczysz w odmiennych warunkach.

Rozumiem Idalię twoją, widzę ją nieledwie przed sobą, podobną owym dziewicom średniowiecznym, poświęconym Bogu, wyrzekającym się świata i ciała, mistycznie rozkochanym w niebiosach. Nie dziwię się żeś ją pokochał, ale lękam się o ciebie, bo nie wiem czy w stanie szału i rozstrojenia w jaki wprawia cię namiętność, potrafisz zdawać sobie jasną sprawę z tego co cię otacza, z cierni które cię ranią i na każdym kroku ranić będą coraz silniej, jeśli ich usunąć nie potrafisz.

Idalię chowano jak kwiat w cieplarni, w sztucznej

atmosferze konwencyonalnych fałszów, mdłych poezyj, eterycznych marzeń. Żadna z jędrnych, ożywczych prawd życia nie rozjaśniła jęj pojęć, nie rozgrzała myśli. Dla nięj trwa jeszcze odwieczna walka pomiędzy duchem a ciałem. Realność każda, miłość prawdziwa, to wcielenie owego potępionego Arimana, którego nauczyła się nienawidzić, którym pogardza. Dla nięj każdy krok postawiony na drodze postępu, jest krokiem do zguby; dla nięj człowiek grzeszy każdym ludzkim uczuciem, w bezczynności tylko i bierności powinien szukać zbawienia. Znam te doktryny śmierci, królujące jeszcze dotąd w niektórych umysłowych sferach, krzywiące polotne duchy, tworzące tyle moralnych kalęctw. Bądź pobłażliwym dla Idalii. Dotąd wszystko przedstawiano jęj w fałszywym świetle; zapatrzona w beczcielsne ideały, odwracała oczy od wszystkich realności życia, jakby od pokusy, jakby od grzechu. Świat zapełniały marzenia dziewicze istotami własnego utworu. Nie nauczone jęj stąpać po ziemi, szukać piękna i prawdy w tém co ją otacza, nie nauczono trzeźwem okiem spoglądać na świat wokoło. Samotna, sierota, z gorącym sercem, marzyła o miłości, jak królewna zaklęta w bajkach, nie wiedząc nawet co to jest miłość. To też serce jęj mdłe, niedożęzne, nie pojmuje warunków życia, cofa się przed realnością.

Położenie twoje jest trudne. Zwolna, ostrożnie, z mglistych wyżyn po których błąka się ona bez celu, musisz sprowadzić ją na ziemię; ale wiedz że każde stąpięcie po nięj razić ją będzie, jak światło oczy przywykłe do cienia. Ty musisz znieść jęj cierpienia, bo cierpieniem tylko anioł przetrzymać się może na człowieka.

Ale nie lędz się także zbytnią nadzieją. Są natury bezwarunkowo anielskie, niezdolne do człowieczeństwa, nieprzydatne na nic ludzkości. Idalia, nie mogąc podjąć ciężarów życia, złamać się może w twojem ręku zbyt szorstkim dotknięciem, lub znienawidzić cię zato, że ją budzisz z marzenia w którym dotąd śniła życie.

Edwardzie, serce moje od pierwszej chwili przeczuło to wszystko. Ale teraz ty sam cierpisz i szalejesz, kiedy potrzeba ci nade wszystko być mężnym, cierpliwym, wytrwałym; ty sam utrudniasz położenie swoje, gdy wszystko sprzysięga się przeciw tobie, a zamiast przyjaznej ręki, jest pomiędzy wami dłoń wroga, gotowa każdej chwili cisnąć iskry na prochy.

Ja nie wiem jakim jest Herakliusz, ale choćby chciał, nie potrafił być sprzymierzeńcem twoim. Idalia zbyt daleko stoi od niego, wśród mglistych obłoków średniowiecznych, wyższa i niższa razem od każdej kobiety, mezdolna do grzechu, bo niedostępna pokusie, czysta bez zasługi, promienna bez ciepła, nie wiedząca sama czego żąda; a jednak urokiem piękna, niewinności swojej musiała wywrzeć wpływ na burzliwą, niepohamowaną naturę twoją. Pokochałeś ją właśnie przez odwieczną analogią kontrastów, dlatego że była tém wszystkim, czém ty nie byłeś. Czy próżne jest to prawo Boże, Edwardzie, czy z tęj pozornej dysharmonii nie płynie wielka synteza, logika, harmonia świata?

Nic daremnie niema na świecie; im więcej myślę, tém pojmuje lepiej, że pokochałeś ją, by ją zbawić i wzamian przez nią być zbawionym.

Wola człowieka kruszy niepodobieństwa, miłość niweczy zapory, a ty masz wolę i miłość. Dumny, wyzywasz świat i ludzi do walki. Nie lękam się dla ciebie ludzi i świata, bo wierzę że ich pokonasz; powtarzam ci: lękam się ciebie samego.

Czemuż nie mogę być przy tobie, czuwać nad tobą i nad nią? Ale nie, ciebie nikt wspomódz nie zdoła; sam musisz walczyć i zwyciężyć, sam zdobyć nie serce już, lecz przekonanie i ufność, sam stworzyć i rozwickać moralnie istotę którą kochasz, jak rycerz w bajkach zerwać zaklęte pęta z jęj ducha.

To nie praca dnia i godziny, Edwardzie; zwycięstwa nie otrzymasz w chwili szału i namiętności, w której jak dziecię szalone drażnisz ją i przeirasz.

Kochaj ją z zaparciem, z zapomnieniem siebie, nie jak kobietę której pożadasz, nie jak bóstwo które wielbisz w pokorze, ale jak godną siebie i równą istotę, z którą chcesz złączyć serce, myśl i przyszłość.

To wielka moralna praca; od siebie samego za-

czając ją musisz. Spotkają cię może chwile zwątpienia i upadku, ale ufam że jęj podołasz i nie dasz zwyciężyć się złej chwili, a podołasz dlatego tylko, że posiadasz broń zaklętą: *miłość*. Niech miłość strzeże cię i umacnia, nie ta miłość krwi i nerwów jaką słusznie przeraziła się Idalia, ale to wielkie, wszechwładne uczucie, które duch twój wysoki pojąć jest zdolny. To godny zakres jego działania, a jeśli walka będzie trudną, zwycięstwo warte jest walki.

LIST XI.

Edward do Albiny.

Masz słuszność, Albino, głos twój doleciał mnie w chwili szału i zbudził, głos twój dostraja mnie do mojej własnej miary. Nie czas mi się roztkliwiać i rozmarzać; powinienem być silnym za nią i za siebie, powinienem zapanować nad sobą, by zdobyć panowanie i nad nią, i zebrać wszystkie siły na tę walkę z duchem, bo walka idzie na śmierć i życie.

Nie lędzę się; wiem iż rzuciłem przyszłość całą w tę miłość i nie żałuję tego, bo tylko taka miłość posiada ożywczą siłę, tylko taka miłość cada działać może.

Dla mnie niema już powrotu; zrozumiałem to w dniach owych, gdy spotkała mnie pierwsza boleść, pierwsze zwątpienie, gdy szalony, sądziłem już że ją mogę utracić i próbowałem bez niej spojrzeć w życie.

Teraz powoli pomiędzy nas powraca cisza, miłość nasza znów odbija pogodę nieba, jak szyba wody po burzy, i tylko falowanie powierzchni przypomina, że spokój ten nie trwał zawsze. Ale kto nam powróci spokój przedburzny i tę niczém niezmaconą ufność przeszłości? kto nam wróci to co jest niepowrotném?

Cierpieniem z anioła wytwarza się człowiek, cierpieniem wszystko budzi się do życia, dochodzi samopoznania i świadomości siebie; cierpienie, to konieczna faza przejścia. Wiem o tęj zasadniczej prawdzie bytu, a jednak żal mi tego utraconego raju, do którego niema już powrotu.

Serce moje mięknie i niewieścieje. Czemu budzi się we mnie ten niewczesny żal, skoro wiem iż to co było, być musiało, to co jest, jest koniecznym? Nie czas mi teraz myśleć o przeszłości, gdy chwila obecna stanowi o całym życiu mojem.

Ty, Albino, przejrzałaś do głębi tego ducha, którego ja, rozkochany, rozwickać nie mogłem, ty wysoką myślą objęłaś tę istotę i sformułowałaś dokładnie to, co dla mnie było dopiero przecuciem.

A jednak w tęj przeczystej naturze jest coś co uchodzi nam obojgu, coś czego zrozumieć nie mogę. Spokój wrócił pomiędzy nas, ale Idalia pozostała smutną, jakby rozżaloną. Na jęj jasnym czole przechodzą fale myśli bolesnych, na ustach osiada jakiś tajemniczy uśmiech cierpliwego smutku. Błade dawniej rumieńce zbiegły się na licach gorączkowo i oddzieliły od twarzy, bielszej, przezroczystszej niż dawniej, a wzrok mglisty coraz częściej odwraca się od ziemi i tonie w przestworzach, jak gdyby tam szukała schronienia przed walką i zmęczeniem życia. Czasem znowu spotykam jęj spojrzenie, tkwiące we mnie z tak nieujętą tęsknotą, z tak dojmującą boleścią, że wytrwać pod niem nie mogę, i pytam samego siebie, czém zasłużyłem na ten niemy wyrzut? Powtarzam ci, pomiędzy nami jest coś, czego zrozumieć nie mogę.

Czyż samo realne życie jest dla nięj tak nieznośne, że każdy krok postawiony na tęj drodze sprawia jęj mękę, a w takim razie czy mam prawo budzić ją z marzeń, wśród których spokojna prześniłaby życie? Gdy patrzę na jęj cierpienie, wyczerpuje się duch mój, ale nigdy miłość, i lękam się zapytać o powód tęj boleści, by znów nie wywołać starcia, nie podrażnić tęj księżycowej istoty ziemskim uczuciem i ziemskim wyrazem.

Daremnie rozumiem, daremnie zbieram siły; ja jęj uśmiech okupiłbym kosztem krwi mojej całej, a ty chcesz bym po cierniach i głogach wiódł ją na życie walk i burz.

Niech śni jak dawniej, niech marzy i roi, niech zrobi ze mnie niewolnika swego: potrafię wszystko przenieść, byłem patrzył na pogodę jęj czoła, byle znów uśmiech wrócił na jęj usta, byle znów mogła być taką jak wczoraj.

Rozumowania twoje są słuszne, Albino, a jednak ja ich posłuchać nie potrafię. Przeciwno nim staje nieprzeparta logika namiętności i zwycięża. Ja nie mogę być innym niż jestem, inaczej kochać niż kocham, a jeśli nie przetworzyła jej miłość sama, ja nie mam prawa narzucać jej mojej wiary, chociaż mam przekonanie że w niej tylko jest zbawienie, nie mam prawa rozrządzać jej duchem i urabiać go wedle pojęć moich. Wszak każda istota powinna mieć zostawioną wolność sumienia i myśli. Ja nie chcę, nie mogę przez walki i cierpienia przetwarzać jej moralnego jestestwa.

Czy nie mam słuszności? osądź sama, ty co umiesz wszystko pojąć, wszystko zrozumieć, ty znając wyższą inteligencją jaką zaznałem, z najgorętszym, z najczystszej sercem, osądź sama.

LIST XII.

Albina do Edwarda.

Nie, nie masz słuszności, Edwardzie, powtórzę ci to po tysiąc razy. Daremnie stroisz się w szaty rycerskości; lenistwo ducha przemawia przez ciebie. Ty lękasz się jej cierpienia, ty nie masz siły do walki. Ale to napróżno; daremnie odsuwać ją będziesz, nie potrafisz uniknąć jej nigdy. Dziś lub jutro przyjdzie niespodzianie stanowcza chwila; nie ustrzeżesz się jej.

Chcesz zostawić Idalii wolność sumienia i ducha, nie chcesz przetwarzać jej moralnej istoty, i miałbyś słuszność, gdybyś ją spotkał, spojrział na nią i rozszedł się w przeciwną drogę nazawsze. Wówczas byłbyś w prawie działać tak jak działasz, mógłbyś uniknąć walki i jej cierpienia. Ale dzisiaj nie masz już pośredniej drogi przed sobą, a każda chwila zwłoki i słabości staje przeciwko tobie i trudniejszym tylko czyni zwycięstwo.

W głębi serca musisz przyznać mi słuszność. Ty wiesz iż dając się porwać ślepej logice namiętności, zgubę gotujesz jej i sobie zarazem. Ty wiesz że pomiędzy wami rozdźwięku być nie może, nie powinno być tajemnicy, a jednak lękasz się zapytać o przyczynę jej smutku. Edwardzie, kto się chroni przed cierpieniem, zwykle sroższem cierpieniem karany bywa. Nikczemność nigdy nie wychodzi na dobre, nawet w obec najukochańszej istoty; w obec jej bólu niewolno być tchórzem i nikiemnym.

Czemuż poznałeś i pokochałeś Idalię, jeśli miłość ta ma ci przynieść upadek tylko? Ty, którego znałam tak hardym, niezachwianym, tak pogodnie stawiającego czoło gromom i burzom, żelazną ręką łamiącego zapory, ty co z rozkoszą prawie chłonałeś silną pierś atmosferę walki, ty dzisiaj lękasz się zdobyć szczęście i spokój, lękasz się, wahaś i dajesz unosić prądowi, który niesie cię na zgubne skały, zamiast rzucić się do steru i wyratować ją i siebie.

Nie, Edwardzie, ja dzisiaj nie poznaję ciebie, ja potępiam tę miłość, jeśli ona, zamiast umacniać ducha twego, jest ci upadkiem i słabością.

Z dziennika Idali i.

...Cierpię jak zawsze, jak zwykle, ale czemuż cierpię? Cierpienie było mi niejako nieodstępne od chwiligdy myślałam zaczęłam; nauczono mnie wierzyć, że to konieczny warunek ziemskiego życia, że świat ten jest padołem płaczu i że niewarto troskać się o nędzę jego. A jednak, w dziwnej sprzeczności z tym zdaniem, wszyscy szukają szczęścia. Czemu ja sama przywyknąć nie mogę do tego co być ma nieodzownym, czemu buntuję się w duchu, jeśli inaczej być nie może? Czemu ta sprzeczność wieczna pomiędzy pojęciem a uczuciem? Jedno z nich fałszem być musi. A jednak ja zaznałam chwilę szczęścia choć znikomą, i myśl odwróciła się od niebieskiej ojczyzny, serce przestało utęskniać za zmarłymi, i pomimo bólów i męczarni, przylgnęło do ziemi, do ziemi którą gardzę. I zostałam rozłamana duchem, oddałam skarby serca człowiekowi, a jednak serce moje pozostało próżne i łaknące. Czego pragnę? czegoż mi zbrakło? czemu pomiędzy nim a mną niema harmonii? czemu cierpię, patrząc na jego dumne czoło, na usta nakazujące, na oczy płomienne, cierpię i zrozumieć nie mogę ich blasku

i kocham go gdy jest daleko, i lękam się jego wzroku, lękam się słów gwałtownych, i tęsknię kiedy go niema, i drzę kiedy jest przy mnie? Więc nawet miłość sama jednej chwili szczęścia dać nie może!...

A przecież ja wierzę iż on mnie kocha, choć miłość jego tak różną jest od mojej. W duchu jego zdają się być otchłanie niepojęte dla mnie, myśli jego nie spotykają się z moimi. Czemuż kochając się, nie możemy się wzajem zrozumieć? Kto mi wytłumaczy serce jego? Czy przeszłość? To słowo samo przeszłość jego przejmuje mnie zimnym dreszczem trwogi. Czemuż zapomniał on minione lata? Czy też mój obraz snuł się przed jego oczami w przeczuciach niewyraźnych, jak ja życie całe marzyłam o nim?

Czemu Herakliusz uśmiecha się tak niemilosiernie, tak szyderczo, kiedy mówię mu o tém? Czemu Herakliusz tak często powtarza, iż miłość to tylko chwila burzy? Czy to prawda? Czy to być może? Czyż miłość taka jak moja przemija kiedy? Czy on mógłby mnie przestać kochać? Czy kochał już?... Tę myśl wyczytałam wyraźnie w oczach Herakliusza. On kochał może już nieraz, a mnie dostaną się tylko resztki jego serca, lub gorzej: zajmę je z kolei, będę jednym obrazkiem więcej w kaleidoskopie życia...

Nie, nie, to być nie może! Musiałabym nim pogardzić. Pogardzić?... ale czy dlatego przestałabym kochać? Co to znaczy przestać kochać? Ja słowa tego nawet zrozumieć nie mogę. Widziałam umarłe ciała, nie widziałam umarłych uczuć, one wieczne być muszą, jak nieśmiertelny duch w którym powstają.

Serce moje tęskne, przelękłe, cofa się przed tym chaosem myśli. Gdzie na nie znaleźć odpowiedź?

A gdybym zapytała jego... On nigdy nie mówił o przeszłości swojej, on mówił tylko że mnie kocha i mówić nie potrzebował, czytałam to bez słów w oczach jego, w drzeniu głosu. POCO mi pytać o więcej?

Przyjdzie jednak chwila, w której wszystkiego dowiedzieć się muszę, gdy związek nasz stanie się zupełnie nierozdzielny. Ta chwila przyjdzie, ale czemuż myśl o niej sama jest mi nieznośną? Odsuwam ją z drzeniem w przyszłość daleką, a przecież czuję że jej uniknąć nie mogę. Jak określona czarą, muszę pełnić wolę jego; daremnie walczę i bronię się.

Czemuż kochając, lękam się tej chwili w której zniknie wszystko co nas rozdziela? Czy mu nie ufam? Ja nie wiem sama, ale się lękam, lękam się by codzienne życie nie padło jak pył brudny na kwiat uczucia.

Pamiętam że matka moja mówiła nieraz, iż żadna miłość tej próby nie wytrwa. A jednak ona sama upoważniła mnie uroczycie iść za głosem serca, chociażby wbrew woli rodziny całej. Dlaczegoż jednak szukać miłości w małżeństwie, jeśli ono samo zabija ją musi?

Wszędzie sprzeczność, gdzie rzucę okiem; gdzie myśl zwróć, otacza mnie chaos sprzeczności. Lękam się życia, bo go nie pojmuję, bo pośród tych wód nieznanych, nie umiem sterować swą łodzi i unoszą mnie fale. Czyż zawsze myśl moja pytać będzie? gdzież znaję odpowiedź? Czy są ludzie którzy ją znaleźli?

Znowu z dziennika Idalii

Dziś już nie potrzebuję pytać czemu cierpiałam, sprawdziły się złe przecucia moje, dziś wiem już z pewnością to, co myśl sama lękała się przypuszczać, wiem i mimo to żyję, i kocham jak kochałam. Herakliusz w końcu zmuszony był powiedzieć mi wszystko. Wiem wszystko, a jednak żałować nie mogę tego com uczyniła, nikczemne serce moje nie umi się cofnąć, tylko zranione, krwawo cierpi, lecz niemniej silnie uderza i obrazu jego stracić nie może.

Oddawna już uważałam spojrzenie Herakliusza trwożne i niespokojne, oddawna kropla po kropki wsać w myśl moją jad nieufności. Bolało go szczęście moje, bo wiedział że było znikome, oparte na złudzeniu tylko. Uważałam że z niechęcią źle uta-

jona przyjmował Edwarda, ale nie chciałam tego widzieć, wmawiałam w siebie iż to dlatego, że wybór mój zrobiony był wbrew jego myśli. Zaślępiona, odsuwałam się coraz bardziej od niego, unikałam go nieledwie. On rozumiał to i znosił cierpliwie. Opieka jego rozciągała się nademną niewidzialna: czułam się przedmiotem jego niepokoju, jego troski i z dumą niewdzięczności odwracałam jego oczy. On smutny, niezrozumiany, nie zrażał się jednak. Nieraz spotykałam go w żywej z Du Barlette rozmowie, która cichła za moim zbliżeniem się. Aż dzisiaj niespodzianie, przechodząc przez ogród, usłyszałam kilkakrotnie wymówione imię Edwarda, złączone z jakimś kobiecym imieniem. Zbliżyłam się, tknięta dziwnym uczuciem, z postanowieniem dowiedzenia się raz tego, co wyraźnie skrywano przedemną.

— Co mówiliście o nim? zapytałam, stając niespodzianie pomiędzy nimi.

Du Barlette westchnęła, odwracając oczy; opiekun mój próbował uśmiechnąć się, ale uśmiech skonał mu na ustach, gdy spojrział na mnie.

— Chcę wiedzieć wszystko, wyrzekłam, zdobywając się na stanowczość, wszystko co wiecie o nim.

— Idalio, wyrzekł Herakliusz, biorąc rękę moją i ściskając ją ze współczuciem, — Idalio, sama wybrałaś go, ukochałaś i zaręczyłaś z nim życie. Nie pytaj mnie o nic dzisiaj; odebrałaś mi prawo odpowiedzi.

W głosie jego i słowach czytałam wyraźnie nieszczęście moje.

On posadził mnie na ławce obok siebie, obie moje dłonie wziął w swoje i wyszeptał cicho:

— Biedne dziecię!

Domyśliłam się tych słów, więcej niżelimi je usłyszała.

— Dlaczego? pochyciłam, powiedz mi dlaczego nazywasz mnie biedną? dlaczego ja sama tak biedną się czuję?

I mówiąc to, nie mogłam ukryć łez.

— Więc i ty także, Idalio, zawołał ze zdumieniem prawie, czujesz, wiesz, że nie jesteś szczęśliwą?

— Cierpię oddawna, wyrzekłam, a nie mogę zdać sobie sprawy z cierpienia. Przez litość, jeżeli możesz, wytłumacz mi samą sobie!...

Herakliusz powstał niespokojny, niepewny, wahał się, i nierównym krokiem przechadzał się wszędy i wzdłuż szpaleru, jakby rozmyślając co ma uczynić.

Ja pozostałam na ławce, bez tchu prawie; serce ściskała mi w piersi dłoń lodowata.

Wreszcie Herakliusz zbliżył się i stanął przedemną, z dziwnie smutną powagą.

— Idalio, wyrzekł, powiedz mi szczerze że żądasz prawdy odemnie, daj mi słowo że cokolwiek ci powiem, przebaczysz mi ból sprawiony, przebaczysz mi iż szczęście twoje stawiam ponad wszystko na świecie. To nie jest tylko obowiązek sumienia, to obowiązek serca. Od dziecka kochałem cię, Idalio!...

— A więc, w imię obowiązku i serca, w imię litości żądam prawdy, wyrzekłam, podając mu rękę.

— I przebaczysz mi? zapytał pochylając się nademną i patrząc mi w oczy dziwnym wzrokiem.

— Będiesz miał wdzięczność moją.

Milczał jeszcze chwilę, jakby zbierając myśli, jakby dając mi czas cofnięcia słów niebaczących. Byłam jakby skamieniała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA RZYMSKA
MOMMSENA.

Zeszyt 10ty wyjdzie 20 czerwca r. b.
Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36.—Cena rsr. 8.—Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.